



Elizabeth Bevarly

Kuszenie Monahana

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miriam Thornbury siedziała przed komputerem w Bibliotece Publicznej Miasta Marigold. Właśnie testowała filtr internetowy, gdy na ekranie pojawiła się strona *goracemo-krekociaki.com*.^{*} . Zaczęła napawać się sukcesem, bo oto pokonała następny program filtrujący i tym samym zdobyła kolejny punkt w walce z cenzurą, lecz jej radość trwała krótko, bo ledwie do chwili, gdy przyjrzała się zawartości internetowej strony.

Pomyślała, że w zupełnie wyjątkowych sytuacjach cenzura mogłaby się jednak przydać... i natychmiast się wzdrygnęła. Świat zupełnie schodzi na psy, jeśli bibliotekarka staje się orędowniczką czegoś tak obrzydliwego!

** W angielskim oryginale: Hotwetbabes. (Przyp. tłum.).*

Miriam oczywiście znała kolegów po fachu, którzy z radością przywitaliby kontrolę książek, prasy, spektakli teatralnych, filmów, programów telewizyjnych i Internetu. No, może nie tyle znała, ile jedynie słyszała o nich, jako że w całym Marigold w stanie Indiana na pełnych etatach pracowało tylko dwóch bibliotekarzy, a przy tym zagorzałych wrogów cenzury: ona i Douglas Amberson, jej szef.

Jednak słyszała o bibliotekarzach, którzy uważali, że lepiej od klientów wiedzą, co jest dla nich dobre, a co nie i chronili biednych, niemądrych czytelników od chwastów, pieniących się w ogródku literatury.

Co gorsza, Miriam znała podobnie myślących burmistrzów. Jeden z nich rządził takim miastem jak... powiedzmy... Marigold w stanie Indiana.

Dlatego właśnie w słoneczne lipcowe popołudnie siedziała w swoim biurze, czyli małym pokoiku na zapleczu miejskiej biblioteki, i usiłowała znaleźć w sieci filtr, który najskuteczniej chroniłby przed takimi stronami, jak choćby owe *gorącemokrekociaki.com*.

Miriam podjęła się tego zadania z mieszanymi uczuciami. Wprawdzie brzydziła się wszystkim, co przekraczało granice dość surowo pojmowanej obyczajności, stanowczo jednak burzyła się na myśl, by ktokolwiek miał decydować, co ludziom wolno oglądać lub czytać, a czego nie. Niestety, Isabel Trent, burmistrz miasta Marigold, była innego zdania.

Miriam spojrzała na ekran i skrzywiła się. Strona *gorącemokrekociaki.com* wzbudziła w niej wiele wątpliwości. Na te półnagie, lśniące kobiece ciała natknąć mógł się każdy. To nie jest w porządku, prawda? Zwłaszcza że te półnagie, lśniące kobiece ciała prawie zupełnie nie przypominały prawdziwych kobiet z krwi i kości. Nawet mokrych.

To było nieuniknione. Miriam spuściła oczy i popatrzyła na swój biust. Bogu dzięki, był całkiem suchy i dokładnie schowany pod tradycyjnym mundurkiem bibliotekarki, czyli idealnie wyprasowaną białą bawełnianą bluzeczką i równie schludną długą beżową spódniczką. Podniosła wzrok. Ze smutkiem pomyślała, że nie tylko jej biustowi dużo brakowało do tego, co prezentowały panie na ekranie komputera.

Posepnie westchnęła. Fryzury tych kobiet, nawet mokre, układały się we wspaniałe, złote, miedziane lub czarne fale, natomiast jej płowe włosy - o barwie pomyj, jak mawiała matka, były gładko zaczesane i związane w koński ogon. Ani śladu fal. A jej oczy, szare i nijakie, gdzież mogły się równać z tamtymi oczyma o wyrazistych barwach i egzotycznej oprawie...

Znów westchnęła. Nie, pomyślała, te kobiety z komputera na pewno nie

są takie sobie ot, zwyczajne i przeciętne. Ani też realne.

Ale przecież ta strona nazywała się *gorqcemokrekociaki.com*. i Miriam nie powinna była być zdziwiona, że znalazła tam fotografie przedstawiające... gorące, mokre kociaki.

Osobiście nie podobało jej się, że ktoś dla takiego celu wykorzystuje Internet, nie był to jednak powód, by popierać cenzurę, prawda? Choć nie byłoby źle, gdyby ludzie byli bardziej odpowiedzialni i zachowywali pewien umiar.

Przesunęła myszkę, by zamknąć program. Ten filtr, skoro przepuszczał takie strony, stanowczo nie odpowiadał potrzebom Biblioteki Publicznej Miasta Marigold. Niestety, nie trafiła kursorem we właściwe miejsce. Był to z całą pewnością czysty przypadek. Zamiast zamknąć program, kliknęła w ikonę z następującym zaproszeniem: „Odwiedź naszą zaprzyjaźnioną stronę! *Gorqcemokrekocury.com*. * !”.

** W angielskim oryginale: Hotwetbods. (Przyp. tłum.).*

I nim zdołała naprawić błąd - ach! te szybkie, nowoczesne modemy! - nowy obraz pojawił się na ekranie. I oto znalazła się oko w oko z...

O rety!

Znów miała przed sobą lśniące, półnagie ciała, lecz tym razem były obnażone nie od pasa w górę, tylko...

O mój Boże!

- Ach, tu pani jest, panno Thornbury.

O, nie!

Jedyne, co mogło pogłębić i tak okropne zażenowanie Miriam, to

przyłapanie jej na oglądaniu - i co z tego, że przypadkiem? - gorących mokrych kocurów z Internetu. By zaś sprawę jeszcze bardziej pogorszyć - tak, tak, to możliwe - tym kimś powinien być profesor Rory Monahan, czyli jedna z najznamienitszych postaci Marigold.

I jeden z najbardziej uroczych obywateli tego miasta. A także jedna z najlepszych partii.

Miriam, rzecz jasna, nie zaprzętała sobie tym zbytnio głowy, ale przecież była tylko słabą kobietą i w skrytości ducha przepadała za towarzystwem uroczych mężczyzn. Mówiąc szczerze, bardzo lubiła Rory'ego Monahana, jednak całe Marigold wiedziało, że profesor był tak pochłonięty pracą naukową, iż nie zwracał uwagi na nic. Ani na nikogo.

A to już było bardzo smutne, gdyż Miriam wiele dałaby, żeby Monahan zwrócił na nią uwagę. Ale nie w trakcie oglądania półnagich mężczyzn w Internecie!

Zmieszana, zerwała się z krzesła i stanęła tak, by zasłonić sobą ekran monitora przed wzrokiem zbliżającego się profesora, który, nawiasem mówiąc, tego dnia wyglądał jeszcze bardziej uroczym niż zwykle. Za okrągłymi okularami w drucianych oprawkach lśniły jasnoniebieskie oczy, a czarne włosy układały się w fale. Nerwowo przeczesał je palcami, przerzucając strony „Encyclopaedia Britannica”. Miał na sobie ciemnobrązowe luźne spodnie i kremową koszulę, której podwinięte rękawy odsłaniały niezwykle muskularne ramiona. Pewnie od przenoszenia tych ciężkich ksiąg, pomyślała. Całości dopełniał niemodny i niezbyt ładny krawat.

Tak czy siak, był uroczym rozczochranym i zachwycająco niedbałym. Takiego mężczyznę z rozkoszą zabrałaby wieczorem do domu i... i... i...

I nakarmiła, pomyślała strapiona. Bowiem naprawdę o tym właśnie

myślała, ilekroć widziała Rory'ego Monahana. Pragnęła gotować dla niego w swojej kuchni, a na deser podać mu szarlotkę własnego wypieku... chociaż wcale nie była dobrą kucharką, a ciasta piekła jeszcze gorzej. Mniejsza z tym.

Marzyła, że po uraczeniu profesora dziełami sztuki kulinarnej wypije z nim kawę, a potem, oczywiście trzymając się za ręce, pójdą na spacer. Na koniec jedliby prażoną kukurydzę, oglądając jakąś romantyczną komedię przyniesioną z wypożyczalni.

Nie da się ukryć: marzenia Miriam dotyczące profesora Monahana były tak słodkie, łagodne i niewinne, że wprost robiło się niedobrze. I bez tego panna Thornbury była najspokojniejszą, najlepiej ułożoną i najnudniejszą dziewczyną na ziemi.

Jeżeli miała kiedyś wdać się w jakiś romans - choć wcale tego nie planowała, nawet z Rorym Monahanem - to czuła, że powinna znaleźć mężczyznę niebezpiecznego, porywającego i skandalicznego, który potrafiłby obudzić w niej takie same reakcje... gdyż coraz bardziej się obawiała, że nie stać jej nawet na jedno zachowanie niebezpieczne, porywające i skandaliczne.

Co gorsza, jej słodkie, łagodne i niewinne marzenia związane z profesorem Monahanem trąciły domatorstwem i małżeństwem. Nie żeby Miriam miała coś przeciwko małżeństwu, wprost przeciwnie. Często myślała o tym, by wyjść za mąż i wieść dostojne życie rodzinne. Kiedyś, to znaczy możliwie szybko.

Niestety, nie mogła się wydać za Rory'ego Monahana, albowiem był on już żonaty. Ze swoją pracą. Z profesurą historii na lokalnym uniwersytecie. Z badaniami naukowymi. I ze swoją niezaspokojoną żądzą wiedzy. Gdy zaś chodziło o kobiety, rzecz miała się zgoła inaczej. Przez sześć miesięcy - tak długo bowiem mieszkała w Marigold - Miriam ani razu nie widziała go na

randce.

Z drugiej strony ona też, odkąd sprowadziła się do Marigold, nie była na żadnej randce. Czy miała na to jakieś usprawiedliwienie? Przecież kilka razy ją zapraszano. Niestety, swoje towarzystwo oferowali jej nie ci mężczyźni. Nie była nimi zainteresowana, ponieważ... ponieważ... Spojrzała na profesora Monahana i z wysiłkiem powstrzymała się przed głębokim, melodramatycznym westchnieniem. Właśnie dlatego. I był to wystarczająco dobry powód.

- Panno Thornbury - powtórzył profesor i zbliżył się jeszcze o krok.

Wciąż mając w pamięci to, co było widoczne na ekranie jej komputera, Miriam przesunęła się odrobinę w prawo.

- Słucham, profesorze Monahan? Czy mogę w czymś pomóc? - spytała niewinnym głosem. Taką przynajmniej miała nadzieję, choć myśli, które zaczęły kłębić się w jej głowie, ani trochę nie były niewinne, lecz z gatunku gorących i mokrych.

- Mam mały kłopot - powiedział. - I wydaje mi się, że tylko pani potrafi mi pomóc.

To brzmi obiecująco, pomyślała Miriam.

- Tak? - rzuciła. Pokiwał głową.

- Szukałem piętnastego tomu „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana, lecz nie znalazłem. Jest tylko jedna osoba, która zna tę bibliotekę jak własną kieszeń. To jest... - Zawahał się i ściągnął brwi. Miriam natychmiast spostrzegła, że było mu z tym bardzo do twarzy. - Sądzę, że jest to pan Amberson - powiedział. - Ale nie ma go tu teraz. Zastanawiam się, czy pani może mi pomóc?

Oczywiście, pomyślała Miriam. W końcu to jej praca, nie mówiąc już o

tym, że mogła dzięki temu znaleźć się bliżej profesora Monahana i przy okazji sprawdzić, czy tego dnia pachniał równie cudownie jak zazwyczaj. Urzekającą mieszaniną mydła Ivory i wody po goleniu Old Spice. Tyle tylko, że wtedy musiałyby odsunąć się od monitora, a wówczas zobaczyłyby, co ona właśnie oglądała. Gorące mokre kocury! A to nie byłoby chyba dobrze, prawda?

Zatem zrobiła jedyną rzecz, którą mogła zrobić. Wyciągnęła rękę i, wskazując na drzwi, zawołała:

- Och, proszę spojrzeć! Czyżbyśmy gościli u nas Prince'a? - I przypomniawszy sobie, jak znany piosenkarz kazał siebie nazywać, szybko dodała: - A raczej Artystę Znanego Uprzednio jako Prince? Gdy zaskoczony Monahan obrócił się, Miriam kocim ruchem schwyciła myszkę - i monitor pokazywał już tylko „Wielkich filozofów osiemnastego wieku” - tapetę, którą tego ranka ściągnęła z Internetu.

Kiedy wyprostowała się, profesor wciąż wykręcał sobie szyję, spoglądając przez drzwi.

- Nie widzę żadnego artysty - powiedział. - Ani żadnego księcia*. - Zwrócił ku Miriam zdumioną twarz. - Szczerze mówiąc, nie słyszałem o żadnym księciu, który byłby artystą, a już na pewno nie w tym stuleciu. - Pojaśniał na twarzy.

** Gra słów: prince (ang.) - książę. (Przyp. tłum.).*

- Bowiem w epoce Renesansu było wielu.
- Profesorze Monahan - przerwała mu łagodnie Miriam. Miała już okazję przekonać się, że gdy tylko mu pozwolić, zwykł rozwodzić się na

historyczne tematy długo, ale to bardzo długo. Wiedziała, że jeśli nie zdusi tego w zarodku, runie cały jej plan dnia.

- Tak, panno Thornbury?

- Piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana?

Czy nie tego pan szukał?

Przez moment sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego, nagle jednak uśmiechnął się.

- Tak, właśnie tego szukałem. Skąd pani wie?

- Powiedział mi pan o tym. - Odwzajemniła uśmiech.

- No tak, rozumiem. - Zarumienił się, a serce Miriam fiknęło wesołego koziołka. On jest naprawdę uroczy!

- Czy pani wie, gdzie jest ta książka?

- Tak, wiem, ponieważ czytałam ją podczas lunchu.

- Odwróciła się po leżące na jej biurku opasłe, oprawne w skórę tomisko. - Zawsze lubiłam poznawać nowe rzeczy. Szczególnie interesujący wydał się mi rozdział piąty.

Profesor Monahan uśmiechnął się nieśmiało i poprawił okulary.

- To prawda - powiedział. - Sam czytałem go trzy, może cztery razy. Jest doprawdy znakomity. Dziękuję, panno Thornbury. - Wyciągnął rękę po książkę.

Dziwnym trafem - Miriam doprawdy nie miała pojęcia, jak do tego doszło - ich palce zetknęły się i splątały. W efekcie książka z głośnym trzaskiem upadła na podłogę. I, jak na komendę, oboje schylili się po nią. I znów, naprawdę nie wiadomo w jaki sposób, ich dłonie zacisnęły się na sobie. Dziwny dreszcz przebiegł Miriam po plecach.

Pierwsza, a zarazem jedyna myśl, jaka przyszła jej do głowy, była taka,

że skoro tak zareagowała na zwykły uścisk ręki tego mężczyzny, to czegoż mogłaby oczekiwać, gdyby zbliżyli się jeszcze bardziej?

Oblała się gorącym rumieńcem, bowiem gdy uniosła głowę, spostrzegła, że błękitne oczy profesora stały się cieplejsze, a policzki leciutko się zaczerwieniły skutkiem czegoś, co mogło być zakłopotaniem, choć wcale niekoniecznie. Patrząc na Monahana, można było dojść do wniosku, że jego reakcja na takie dotknięcie nie była aż tak słodka jak jej. Chociaż na pewno nie pozostał obojętny.

Mój Boże.

Miriam natychmiast wypuściła książeczkę oraz rękę profesora, szybko wstała i odgarnęła włosy z twarzy. Bardzo starała się unikać spojrzenia Monahana, zaraz jednak przekonała się, że były to zbyteczne wysiłki, ponieważ profesor już uciekł. Rzucił tylko przez ramię:

- Dobrego dnia, panno Thornbury. Jeszcze raz dziękuję. - I zniknął za drzwiami.

Miriam stała zaskoczona i zdezorientowana. Jakby ją... wymaglowano. Całkowicie i gruntownie. Było to bardzo dziwne uczucie, choć wcale nie było nieprzyjemne.

O nie! Ani trochę!

Uśmiechnęła się niemal wyuzdanie, bo tak właśnie się teraz czuła. A skoro już o wyuzdaniu mowa...

Przypomniała sobie, iż ciągle jeszcze miała na ekranie komputera okno, które powinna zamknąć. Wróciła do biurka i przywróciła obraz, żeby definitywnie rozstać się z gorącymi mokrymi kocurami.

Niespodziewanie do pokoju weszła pani burmistrz Isabel Trent i powiedziała:

- Miriam, chciałabym zamienić z tobą słówko. Miriam obróciła się na pięcie, by, jak poprzednio, zasłonić sobą ekran, bowiem gdyby pani Trent zobaczyła, co oglądała bibliotekarka z miejskiej biblioteki, wpadłaby w szal, gdyż biblioteka miejska była oczkiem w głowie pani burmistrz.

- Jak mogę pani pomóc? - rzuciła Miriam.

- Rzecz jest niezwykle ważna - z namaszczeniem powiedziała pani burmistrz.

Miriam westchnęła. Dla Isabel Trent wszystko było niezwykle ważne.

- Tak? - Miriam z trudem zachowała spokój. - Zamieniam się w słuch.

Pani Trent także miała na sobie standardowy roboczy strój urzędniczki, czyli szczelnie zapiętą, tradycyjną w kroju garsonkę, tego dnia w kolorze ciemnego granatu, niemal jak jej oczy. Jasne włosy, gładko zaczesane do tyłu, były ciasno spięte na karku. Na nosie miała wielkie okulary w rogowej oprawie. Wyglądało to trochę tak, jakby pani burmistrz próbowała ukryć się przed całym światem.

- Chodzi o egzemplarze magazynu „Metropolitan”, które poniewierają się w dziale „Periodyki” - powiedziała pani burmistrz.

Miriam pokiwała głową.

- Są często przeglądane. Bardzo przepraszam za nieporządek. Zaraz je uporządkuję.

Pani Trent wyprostowała się groźnie.

- Nie. Usuniesz je stamtąd. Wyrzucisz. Zdumiona Miriam wysoko uniosła brwi.

- Słucham? - spytała.

- Powiedziałam, że masz je usunąć - powtórzyła pani burmistrz. - Pozbyć się ich. Anulować prenumeratę.

- Ale... ale dlaczego? Jak już pani mówiłam, „Metropolitan” jest jednym z najpopularniejszych czasopism w naszej bibliotece.

- A także jest jednym z najbardziej niedopuszczalnych czasopism w naszej bibliotece.

- Niedopuszczalnych? A dlaczego?

- Nie mów mi tylko, że nie zauważyłaś niektórych tytułów pojawiających się na okładce. - Głos pani burmistrz był zimny jak stal.

- No cóż, nie zauważyłam - odparła Miriam. I była to szczerą prawdą. - Nie czytuję „Metropolitan”. - Zdobyła się na prawie serdeczny uśmiech. - Obawiam się, że raczej nie zostanę „Dziewczyną Miesiąca”.

- Mam nadzieję - stwierdziła sucho pani Trent. - Nie ma w tym piśmie nic, tylko seks, seks i seks. Długo musiałabym tłumaczyć, dlaczego nie czytuję „Metropolitan”, pomyślała Miriam, i dlaczego nie nadaję się na „Dziewczynę Miesiąca”. Seks, seks i seks stanowił raczej niewielką część jej życia, życia i życia. Prawdę mówiąc, żadną część, przynajmniej gdy szło o życie realne. Bo fantazje i wyobrażenia...

Bo w wyobraźni Miriam naprawdę folgowała sobie. Często śniła na jawie o sobie i profesorce Rorym Monahanie, choć on zdecydowanie bardziej wolał bibliotekę od bibliotekarki. Lecz i biblioteka grała w jej marzeniach niepoślednią rolę, a zwłaszcza duże stoły w czytelni. Właśnie na jednym z nich profesor Monahan, w jej marzeniach, oczywiście, zajmował się...

O rety! Znów to zrobiła. Śniła na jawie.

- Ale najważniejsze, że... - Słowa pani Trent wolno przedzierały się do świadomości Miriam. Zajęta fantazjowaniem przeoczyła, i dzięki Bogu, długą tyradę skierowaną przeciwko środkom masowego przekazu. - Te kobiety, które pojawiają się na okładkach „Metropolitan”, są po prostu... - Pani

burmistrz zrobiła kwaśną minę. - Wystarczy powiedzieć - ciągnęła - że „Metropolitan” jest pismem absolutnie nieodpowiednim dla naszej biblioteki, podobnie jak inne publikacje, które życzą sobie usunąć z półek.

Pani Trent zbliżyła się do Miriam i zastygła z wyciągniętą ręką. Trzymała w niej ręcznie sporządzony wykaz pism zakazanych. Miriam wzięła kartkę w milczeniu, głównie dlatego, że ze zdumienia zabrakło jej słów. A zdumienie jej jeszcze rosło w miarę czytania listy. Znalazła tam wiele tytułów bardzo popularnych wśród bywalców biblioteki. Pani burmistrz wzięła milczenie Miriam za aprobatę, gdyż przeszła do następnego tematu.

- Są w katalogu powieści, które także należy usunąć - powiedziała. - Na przykład „Płomienie namiętności”. - Jej głos brzmiał lodowato.

- Ale „Płomienie namiętności”... - zaczęła Miriam.

- Tylko nie mów mi, że są popularne wśród czytelników - rzuciła twardo pani Trent.

- No... nie - przyznała Miriam z ociąganiem. Niekoniecznie wśród bywalców biblioteki, pomyślała. Ona sama czytała tę książkę z wielką przyjemnością, i to kilka razy.

- Trzeba także pozbyć się jeszcze tych - powiedziała pani Trent.

Miriam odruchowo wyciągnęła rękę po następną listę. Wciąż nie mogła zrozumieć, co spowodowało tak ostry atak cenzury.

- Poza tym będę musiała dokładnie przejrzeć zbiory literatury angielskiej - ciągnęła pani burmistrz. - Był to, rzecz jasna, czysty przypadek, że właśnie to wpadło mi w ręce. - W oskarżycielskim geście uniosła w górę cienki tomik. - Jestem wstrząśnięta, że znalazłam w naszych zasobach coś, co ma tytuł „The Rape of the Lock”*. Sądzę, że trzeba się tego pozbyć. A ty?

Przez chwilę Miriam w ogóle nie była zdolna do odpowiedzi. Z jej ust

wydobywały się tylko urywane, niezbyt eleganckie parsknięcia.

** „The Rape of the Lock” - „Pukiel włosów ucięty”. Poemat Alexandra Pope'a (1688- 1744). Oburzenie pani Trent wywołało zapewne słowo „rape”. Po angielsku znaczy ono przede wszystkim „zwałcenie, gwałt”. (Przyp. tłum.)*

Na koniec przemówiła:

- Pani Trent, „The Rape of the Lock” to prawdziwa perła literatury, najwspanialsze dzieło Alexandra Pope'a;

Pani burmistrz wbiła w nią ciężkie spojrzenie.

- Człowiek noszący nazwisko Pope* stworzył taki śmieć?! - warknęła.
- Wprost nie mieści się w głowie.

Tym razem Miriam niemal zaniemówiła.

- Śmieć?! - rzuciła. - Przecież to jest jedno z najdoskonalszych osiągnięć poezji.

** Gra słów: pope (ang.) - papież. (Przyp. tłum.).*

Energicznie ruszyła, by wyrwać z jej dłoni tomik i przeczytać kilka strof, jasne bowiem się stało, że pani Trent nie zadała sobie trudu, by zrobić to samodzielnie. Niestety Miriam nie zdołała osiągnąć celu, albowiem gdy znalazła się tuż przed panią burmistrz, ta zbladła jak płótno, a książka wysunęła się jej z palców.

- O mój Boże! - wychrypiała. - Co to jest?! Miriam zacisnęła powieki, bo przypomniała sobie, co było na ekranie komputera. To koniec. Pani

burmistrz jest taka... pruderyjna. Miriam błyskawicznie zdecydowała się na pokerową zagrywkę i ruszyła do ataku.

- Ponieważ, jak doskonale widać, jest ich tam więcej niż jeden, sądzę, że powinno się raczej powiedzieć „to są”, niż „to jest”, prawda? Mówiąc szczerze, dziwię się, że pani pyta. Ale skoro musi pani wiedzieć, są to penisy.

- Ciii! - przerwała jej pani burmistrz. - Nie mów tego. - Jej oczy zrobiły się wąskie jak szparki. - I nie kpij sobie ze mnie, Miriam. Nie pracujesz w Bibliotece Publicznej Miasta Marigold zbyt długo i na pewno nie jesteś niezastąpiona.

Oczy Miriam zamigotały groźnie, lecz nie odezwała się. Faktycznie, nie mogła być na sto procent pewna swej posady. Dla niej właśnie przed pół rokiem przybyła do Marigold i chociaż wykonywała większość pracy, dyrektorem biblioteki był Douglas Amberson. Zawarli niepisaną umowę, że wiosną następnego roku, gdy Douglas odejdzie na emeryturę, Miriam obejmie jego stanowisko. Niestety prócz nich obojga nikt o tej umowie nie wiedział, a nie kto inny, jak pani burmistrz będzie decydować, czy przyjąć rekomendację Douglasa, czy odrzucić.

Dlatego też Miriam stała bez słowa.

- Jak widzę, ostatnia próba znalezienia skutecznego filtra internetowego nie powiodła się. Znowu! - krzyknęła pani burmistrz.

- Bez wątplenia nie uzyska on pani aprobaty - powiedziała Miriam. - Lecz, mówiąc szczerze, nie uważam, by było koniecznym używanie w bibliotece jakichkolwiek programów filtrujących. Jest to przecież forma cenzury.

Pani Trent posłała jej lodowate spojrzenie.

- Jakie jest zatem twoje zdanie?

- Komputery w dziale dziecięcym i młodzieżowym w ogóle nie są połączone z Internetem, więc nie potrzebują filtrów, natomiast ludzie, którzy używają komputerów w dziale dla dorosłych, są dorośli. Nie wymagają kontroli.

- Oczywiście, że wymagają kontroli - powiedziała pani burmistrz stanowczo.

- Dlaczego?

Pani Trent machnęła dłonią w stronę monitora, starannie unikając patrzenia w tamtą stronę.- Żeby nie znaleźli się nagle oko w oko z czymś takim. Miriam westchnęła ciężko.

- Pani Trent, to nie nasza sprawa, że ktoś będzie oglądać coś takiego - powiedziała cicho.

- Owszem, nasza, ponieważ bywalcy biblioteki używają komputerów kupionych za pieniądze podatników.

Miriam nie wiedziała, co powiedzieć. Było jasne, że Isabel Trent już postanowiła, iż w Bibliotece Publicznej Miasta Marigold filtr będzie stosowany i wszelkie dyskusje były bezcelowe. Poza tym, trzeba przyznać szczerze, po obejrzeniu stron „kociaków” i „kocurów” Miriam sama nabrała pewnych wątpliwości.

- Tak czy inaczej - powiedziała w końcu - ten filtr na pewno nie spełnia wymagań, które pani stawia.

- A więc wypróbuj kolejny. - Isabel Trent wolno uniosła głowę. Miriam głęboko westchnęła.

- Jak pani sobie życzy.

Pani burmistrz energicznym ruchem podniosła z podłogi książkę i rzuciła ją na biurko. Potem, wciąż odwracając wzrok, odszukała dłonią

przycisk i wyłączyła monitor.

- W tym tygodniu zamierzam sprawdzić dział dziecięcy - powiedziała oschłym tonem. - Przygotuję dokładną listę pozycji do usunięcia.

- Ale to będzie... - Miriam podjęła jeszcze jedną próbę.

- Nie spieraj się ze mną. Mam na to zgodę rady miejskiej. Chcę, by ta biblioteka była miejscem, w którym będą się dobrze czuły całe rodziny.

Miriam odezwała się, ostrożnie dobierając słowa:

- W naszej bibliotece rodziny czują się dobrze już od ponad stu lat. Biblioteka Publiczna Miasta Marigold doskonale daje sobie z tym radę, a także wszyscy mieszkańcy naszego miasta. Nie potrzebują, by ktoś mówił im, co wolno im czytać, a czego nie.

Równie dobrze mogła przemawiać do kamiennego muru, bo jej słowa odbijały się od pani burmistrz jak pingpongowe piłeczki.

- Szukaj, proszę, skutecznego filtru - powiedziała pani Trent. - I usuń pisma, których wykaz ci dałam. Dzisiaj. Chcę, by jeszcze w tym tygodniu ta biblioteka stała się symbolem rodzinnych wartości Isabel Trent.

Miriam postanowiła porozmawiać w przyszłym tygodniu na ten temat z Douglasem, gdy ten wróci z urlopu, teraz jednak nie miała wyboru. Musiała usłuchać poleceń pani burmistrz. Popatrzyła na wciąż ścisiskaną w dłoni listę czasopism i z dezaprobatą pokręciła głową. Wyglądało na to, że całe popołudnie będzie wykonywać pracę cenzora.

Aj, aj, aj, pomyślała, praca bibliotekarki pełna jest niespodzianek.

Z ciężkim westchnieniem wróciła do pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rory Monahan jak zwykle zbyt był zajęty pracą, by zauważyć, że nadszedł czas zamykania biblioteki. Zorientował się dopiero wtedy, gdy niespodziewanie pograżył się w ciemnościach. Z cichym westchnieniem popatrzył na gasnące żarówki i czekał, by jego wzrok przyzwyczaił się do nowych okoliczności, a następnie ostrożnie włożył zakładkę do leżącego przed nim opasłego tomu i zatrzaskał go. Psiakrew! Akurat znalazł to, czego szukał.

Rory zostawił wszystko rozłożone na stole, bowiem zamierzał tu wrócić następnego popołudnia. Jak zawsze. Był pewien, że swoje rzeczy znajdzie w tym samym miejscu i w idealnym porządku, ponieważ, zgodnie z niepisanym zwyczajem, ten stolik był na stałe zarezerwowany dla niego. Pracownicy Biblioteki Publicznej Miasta Marigold, począwszy od dyrektora, pana Ambersona, aż po Gladys Dorfman, która po zamknięciu przychodziła tu sprzątać, dobrze wiedzieli, że na tym właśnie stoliku nie wolno było niczego ruszać.

Rory włożył na nos okulary, wstał i przeczesał dłonią włosy. Znowu przypomniał sobie, że już dawno powinien był pójść do fryzjera. Bez przekonania spróbował poprawić krawat, lecz wysoko podwiniętych rękawów koszuli już nie dotknął. Sięgnął po leżącą obok tweedową marynarkę - stanowczo zbyt ciepłą jak na lipiec, lecz bez niej się nigdy nie ruszał - skrupulatnie poskładał notatki i schował je do teczki, uporządkował leżące na stole książki i ruszył do wyjścia.

Wiedział, że niezależnie od tego, który z bibliotekarzy pracował tego

dnia, pan Amberson, czy panna Thornbury - z jakiejś niewiadomej przyczyny był przekonany, że jednak panna Thornbury - na pewno spotka go przy głównym wyjściu, zawsze bowiem czekano na Rory'ego Monahana, by zamknąć bibliotekę. Padały wówczas życzliwe pozdrowienia i pytania, jak minął dzień. Wreszcie czy to z panem Ambersonem, czy też z panną Thornbury, opuszczał bibliotekę.

Rutyna, lecz to właśnie profesor Monahan lubił najbardziej. Wszystko precyzyjnie zaplanowane, przewidywalne, spokojne i bezpieczne. Takie życie, jego zdaniem, jest piękne.

Ucieszył się, że słusznie przypuszczał, bo to właśnie panna Thornbury czekała nań przy wyjściu. Przypomnił sobie, skąd wiedział, że to będzie ona. Wszak już widzieli się tego dnia, czyż nie? Nie bardzo pamiętał okoliczności tego spotkania, bo głowę wciąż miał pełną „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana, jednak ogólne wrażenie, jakie mu pozostało, było bardzo miłe. Prawdę mówiąc, budziło w nim niezwykle dreszczyk emocji. Czy może raczej... pożądania?

O! Na pewno nie.

Ale mniejsza z tym. Myśli i tak zaprzątnięte miał faktami, które pozbierał z wielu tomów Stegmana. Wciąż analizował je i segregował.

Jednak w miarę jak zbliżał się do panny Thornbury, naukowe wywody zaczęły się oddalać i zrobiło mu się dziwnie ciepło. I, zupełnie mimo woli, uśmiechnął się. Ta dziewczyna zawsze tak na niego działała, ilekroć tylko ją zobaczył, lecz nie miał pojęcia, dlaczego. Niezmiennie, kiedy tylko natknął się na nią, miał wrażenie, że coś, co było nie w porządku, wracało na swoje miejsce.

Oczywiście Rory wcale nie uważał, że jego życie nie było w porządku.

Przeciwnie, bo wszystko układało się mu nadspodziewanie dobrze. Panna Thornbury miała w sobie jednak coś, co sprawiało, że czuł się w jej towarzystwie... dobrze. Nie miał takich doznań, gdy przy drzwiach spotykał pana Ambersona.

Nie, nie można powiedzieć, że nie lubił dyrektora biblioteki. Skądże! Podziwiał go od wczesnego dzieciństwa, był to bowiem człowiek, który wiedział dosłownie wszystko, a jeśli nawet zdarzyło się, że czegoś nie był pewien, potrafił bezbłędnie znaleźć odpowiedź w księgach. Rory od małego był pod urokiem wiedzy, dlatego Douglas Amberson kojarzył mu się z czymś najlepszym. Jak chyba nikt w Marigold podziwiał i szanował starszego pana.

Z tego wynikałoby jednak, że powinien patrzeć na pannę Thornbury jak na jakąś boginię, albowiem ona także była niezwykle odczytana, świetnie wykształcona, wspaniale się wysławiała i... w ogóle była niezwykła. Równie dobrze jak jej szef orientowała się, gdzie należało czegoś szukać w bibliotecznych zakamarkach. Podziwiał ją i szanował tak samo jak pana Ambersona. Jednak, jeśli by myśleć o panu Ambersonie jako o bogu, to jej boskość wynikała trochę z czegoś innego, co jednak trudno było precyzyjnie nazwać. Ponadto, kiedy już myślał o panie Thornbury jako o bogini, zawsze jawiła się mu odziana w coś zwiewnego i cienkiego, niemal przezroczystego. Dokładniej mówiąc, była to tunika łagodną fałdą spływająca z jednego ramienia poniżej wydatnych piersi, opinająca ponętnie wiotką kibić, z rozcięciem z boku, ukazującym niemal w całości nagie, mleczone udo i...

Hm, hm... O czym to ja... ?

A, tak. Półprzezroczysta szata bogini. Rory nigdy nie miał takich wizji, gdy myślał o panu Ambersonie jak o bogu.

Jednak tego wieczoru, ku rozczarowaniu Rory'ego, panna Thornbury nie

miała na sobie półprzezroczystej szaty, tylko prostą białą bluzkę i długą beżową spódnicę. Strój wprawdzie praktyczny, lecz zupełnie nieatrakcyjny. Włosy ciasno upięła na karku, a ciemnoniebieskich oczu nie podkreślały żadne kosmetyki. A przecież i tak wyglądała nadzwyczajnie. I do tego jeszcze te usta! Zachwycał się nimi nie po raz pierwszy. Znowu poczuł, gdzieś w głębi duszy, coś gorącego i niebezpiecznego...

Hm... hm... O czym to ja...?

A tak, wychodził z biblioteki, do domu. Sam. I nie czeka na niego nikt w stroju bogini, z pełnymi, ponętными ustami.

- Dobry wieczór, profesorze Monahan - przywitała go ciepło panna Thornbury.

- Dobry wieczór, panno Thornbury.

- Jak pańska praca?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

Jak zawsze gawędząc, wolnym krokiem ruszyli do wyjścia, a potem Miriam dokładnie zamknęła drzwi. Tego jednak dnia dźwigała pod pachą wielkie, nieporęczne pudło. Rory miał już zaoferować pomoc, gdy paczka wysunęła się spod ramienia Miriam i upadła. Na chodnik posypał się plik kolorowych pism i magazynów. Rory schylił się.

- Nie sądziłem, że jest pani aż taką miłośniczką „Metropolitan” - powiedział.

Jakoś panna Thornbury nie wyglądała mu na „Dziewczynę Miesiąca”. Nawet w półprzezroczystym, powiewnym stroju. Przeciwnie, bo panie z okładek „Metropolitan” były ubrane jeszcze bardziej skąpo niż jego boskie wizje, a kosmetyki musiały chyba nakładać kielniami, a mimo to żadna z nich nie miała ust tak soczystych, pełnych, ponętnych i...

Hm... hm... O czym to ja... ?

A tak. Żadna nie miała ust, które mogłyby równać się z ustami panny Thornbury.

Miriam była wyraźnie poirytowana, gdy kucnęła, by wraz z nim zbierać rozsypane pisma.

- Nie jestem miłośniczką „Metropolitan” - powiedziała - ale nasza znakomita pani burmistrz uznała, że jest to czasopismo nieodpowiednie dla naszej biblioteki. Dlatego kazała mi je usunąć. Wszystkie numery.

Rory ze zrozumieniem pokiwał głową. Nie zaskoczyło go to zbyt.

- Kiedy poznałem panią Trent, odniosłem wrażenie, że jest nieco...

hm... no...

- Pruderyjna? - odpowiedziała troszkę zgryźliwie panna Thornbury.

Rory uśmiechnął się.- Chyba rzeczywiście to jest właściwe określenie.

- Mmm - zamruczała bibliotekarka. - Potrafiłabym znaleźć jeszcze kilka innych. Ultrakonserwatystka. Dyktatorką. Faszystka.

Rory omal nie udławił się, bo nigdy jeszcze nie widział panny Thornbury tak poruszonej. W mig pojął, że nie powinien z nią dyskutować.

- Myślę, że pani Trent stara się tylko zrobić dobre wrażenie na mieszkańcach naszego miasta - powiedział ostrożnie. - Ostatecznie jest pierwszą kobietą- burmistrzem w dziejach Marigold, a także najmłodszym burmistrzem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Poza tym rozpoczęła niedawno kampanię na rzecz wartości rodzinnych.

- Nie sądzę, by miało to cokolwiek wspólnego z robieniem dobrego wrażenia, ani nawet z wartościami rodzinnymi - powiedziała panna Thornbury. - Uważam, że to wszystko wynika z faktu, że jest ona przerażona swoją własną seksualnością.

Panna Thornbury i Rory w tym samym momencie sięgnęli po pismo, a ich palce splotły się na mgnienie oka, i ten króciutki kontakt, w połączeniu z płynącym z jej ust słowem „seksualność” sprawił, że Rory poczuł się dziwnie. Było to uczucie podobne do tego, jakie przeżył wcześniej, gdy ich dłonie zetknęły się na książce.

Dobry Boże! - pomyślał. Co to ma znaczyć?!

Podniósł głowę, a panna Thornbury też to uczyniła. Spostrzegł, że się zarumieniła. Coś podpowiadało mu - tak naprawdę wiedział to na pewno - że ona odczuła dokładnie to samo, co on. Bardzo, bardzo dziwne!

I bardzo, bardzo interesujące.- Przepraszam, że to powiedziałam - bąknęła. Jej policzki zaróżowiły się jeszcze mocniej, ale nie zrobiła niczego, by wysunąć rękę spod jego dłoni. - Popełniłam nietakt - dodała głucho. - Nie powinnam była mówić tak o pani Trent. Nie wiem, co mi stało się.

Sprawa jest jasna, pomyślał Rory. To dlatego, że myślała o seksualności... pani burmistrz albo nawet o swojej, albowiem nie da się myśleć o czyjejś seksualności, nie czyniąc przy tym, mimo woli, porównań z własną. Rory nie zajmował się zawodowo rozważaniami na takie tematy, jednak prywatnie czasami mu się to zdarzało i wtedy na własnej skórze przekonywał się, jak pobudzało to jego duszę.

Znów wróciła do niego wizja bogini w półprzezroczystej szacie, tyle tylko, że tym razem jej strój był dużo bardziej przezroczysty. Jak nigdy dotąd. Odślaniał jej ramię znacznie bardziej prowokująco i bardziej niż zwykle podkreślał krągłość jej piersi. A nagie, mlecznobiałe udo...

Hm... hm... O czym to ja...?

A tak, seksualność panny Thornbury. Nie! Jego własna seksualność. Nie, też nie to! Seksualność pani burmistrz. Ach tak! O tym mógł myśleć

bezpiecznie, ponieważ seksualność Isabel Trent nie obchodziła go ani trochę.

Tymczasem panna Thornbury wciąż trwała z dłonią w jego dłoni, a on nie miał ani odrobiny chęci, by to zmienić.

- Ja... ja... ja... - zająknęła się panna Thornbury. Widać było, że nie wiedziała, co powiedzieć. Zrezygnowana, mocno zacisnęła usta.

Jaka szkoda, pomyślał Rory, bowiem w ten sposób zniszczyła ich zmysłową linię, na widok której każdy mężczyzna czuł potrzebę pochylenia głowy i wpicia się w te usta namiętym, głębokim pocałunkiem.

Wielki Boże! Co też z nim się działo tego wieczora?!

Rory szybko cofnął rękę, nim jednak Miriam zdążyła schować pismo, przeczytał wielki tytuł na okładce: „Jeszcze dziś spróbuj ze swoim partnerem miłości oralnej!”. Boginka w przezroczyściej szacie wróciła ze zdwojoną siłą, a także jej cudownie ponętne usta, tak kształtne i pełne.

- Naprawdę muszę już iść - oznajmił i zerwał się na równe nogi. - Muszę przygotować się do ustnego seks... Chciałem powiedzieć, ustnego seksami... Tfu! Ustnego egzaminu. Jutro muszę przepytac moich studentów.

I żeby nie skompromitować się do reszty, obrócił się na pięcie i szybko odszedł.

Miriam, wsparta na chłodnych miękkich poduszkach, popijała powoli ziołową herbatkę. Z głośników cicho sączyła się muzyka Mozarta. Nagle niemal wgniotło ją w materac. „Spróbuj ze swym partnerem miłości oralnej”, przeczytała. „Jeszcze dziś!”. Co też oni teraz drukują w tych gazetach! Wiele razy widywała licealistki czytujące „Metropolitan”, nigdy jednak nie przypuszczała...

Wyglądało na to, że nastoletnie dziewczęta z Marigold o pewnych sprawach wiedziały dużo więcej niż ona, gdy dorastała w Indianapolis.

Wypiła kolejny łyk ziółek i zamknęła pismo, oczywiście po przeczytaniu artykułu, wszak bibliotekarze zawsze wszystko czytają do końca. Popatrzyła na rozrzucone na łóżku egzemplarze magazynu. Nie wiedziała, co z nimi zrobić, więc przyniosła je do domu. Nie chciała ich wyrzucać, bo była przekonana, że ona i Douglas Amberson zdołają jednak nakłonić Isabel Trent do zmiany decyzji, i wtedy będzie mogła zwrócić do biblioteki wszystkie zarekwirowane czasopisma. Nie tylko „Metropolitan”...

Teraz jednak pisma leżały rozsypane wokół niej, a ponieważ jako prawdziwa bibliotekarka kochała drukowane słowo, w naturalny sposób zabrała się do ich przeglądania. Zaczęła od „Metropolitan”, oczywiście z uwagi na jaskrawe barwy i czytelną kompozycję okładki, a nie z powodu skandalizujących tytułów wydrukowanych wielką czcionką. A gdy już je zaczęła przeglądać, po jakimś czasie zabrała się do uważniejszej lektury.

Skapo ubrane i mocno umalowane dziewczyny patrzyły na nią ze znudzonymi minami, a wokół nich wiły się nagłówki: „Zrób to w każdym pokoju!”, „Odszukaj jego strefy erogenne. Pomóż mu odszukać twoje!”, „Przestań być syreną, stań się diabolicą w błękitnej sukni”.

Wstrząśnięta Miriam kręciła głową. Czy kobiety naprawdę czytują takie artykuły? - zastanawiała się. Czy korzystają z tych porad? I z jakim skutkiem?

Odstawiła kubek na nocną szafkę. Miała zamiar poskładać pisma do pudełka, gdy jej wzrok zatrzymał się na nagłówku, którego do tej pory nie zauważyła.

„Obudź swoją Wewnętrzną Uwodzicielkę!”. A pod spodem, mniejszymi literami: „Wiesz, że chcesz tego!”.

Mmm, zamyśliła się Miriam.

W środku tego samego numeru przeczytała: „Jesteś niedostrzegana? Stań się Nie- Do- Odparcia! Siedmioetapowa Szkoła Uwodzenia!”. Sięgnęła po pismo. Cóż, pomyślała, przecież nie zaszkodzi, gdy spojrzę, prawda?

Zacząła od artykułu o Wewnętrznej Uwodzicielce. Dowiedziała się, że tłumiła w sobie ważną część duszy, gdyż nie wierzyła, że mogłaby gołymi rękami każdego mężczyznę urobić jak wosk. Musiała tylko nauczyć się wykorzystywać te ręce. W miarę czytania dowiadywała się, że jej ręce, zwyczajne, z krótko obciętych paznokciami, które każdego dnia sprawnie przerzucały katalogowe fiszki, a wieczorami siekały jarzyny na kolację, mogły również, bez trudu...

O matko!

Mój Boże, nie! Tego na pewno nie zrobi, prawda? Chociaż... Może... Gdyby zbudziła swoją Wewnętrzną Uwodzicielkę?

Gorący rumieniec oblał jej policzki. Nie, na pewno nie! Jej ręce nie mogłyby tego zrobić. Nawet w rękawiczkach, choćby i lateksowych...

Nie, nigdy nie pozwoli sobie na tak rozwiązłe zachowania, nawet jako Wewnętrzna Uwodzicielka. Po prostu Miriam Thornbury nie jest taką dziewczyną!

Czytała dalej. Dowiedziała się, że nie wykorzystywała we właściwy sposób swych zdolności do ciętej, błyskotliwej riposty. Do tej pory była święcie przekonana, że takie umiejętności służą przede wszystkim do towarzyskiej konwersacji, tymczasem przeczytała, że - zwłaszcza w Europie - używane są one do intymnego kuszenia. Me miała o tym pojęcia. Słowo. Jak to się stało, że przeżyła dwadzieścia osiem lat, nic o tym nie wiedząc?

Z dalszej lektury dowiedziała się, że również ubranie może być używane jako narzędzie do uwodzenia, ale to akurat jej nie zaskoczyło.

Niejeden raz przeglądała katalog bielizny domu wysyłkowego i chociaż pozycje, które zamawiała, pochodziły z zaledwie dwóch stron, to oglądała również pozostałe, i zawsze dochodziła do tego samego wniosku, a mianowicie, że prawie cała prezentowana tam bielizna wcale nie służyła wygodzie kobiet. Przede wszystkim dlatego, że ani trochę nie wyglądała wygodnie.

Z całą pewnością nie dało się powiedzieć o tej bieliźnie, aby była praktyczna, co oznaczało, że służyła do całkiem innego celu. I nie trzeba być geniuszem, by ten powód odgadnąć. SEKS. I już.

Dotychczas nie zdarzyło się, by Miriam kiedykolwiek włożyła na siebie coś takiego. Na przykład ten uroczy, czarny komplecik, wykonany ze wspaniale wyglądającej, przezroczystej koronki. Z małym, mocno wyciętym staniczkiem. I podwiązkami. O, tak! Według „Metropolitan”, jeśli chce się z powodzeniem zbudzić w sobie Wewnętrzną Uwodzicielkę, koniecznie trzeba nosić podwiązki. Gdy jednak Miriam wyobraziła sobie, że mogłaby założyć na siebie taki... ekwipunek.

Po prostu się zapłoniła. Właśnie tak.

Jak, u diabła, mogła choćby o tym pomyśleć?!

Czarne koronki, skąpy stanik i podwiązki nie pasowały do Miriam Thornbury. O nie, bowiem w jej stylu były długie do kostek, białe, powiewne stroje z haftowanej bawełny.

Mogła chyba jednak poczynić jakieś kroki w dziedzinie ciętych ripost. Z tym nigdy nie miała trudności. Tyle tylko, że nigdy nie używała ich do... uwodzenia. Spróbowała wyobrazić to sobie i...Znowu oblała się gorącym rumieńcem.

Nie, zdecydowanie nie. Było absolutnie niemożliwe, by mogła pójść na

spacer z profesorem Monahanem i na przykład powiedzieć: „Cześć, Rory. Czy to piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana masz w kieszeni, czy tylko tak cieszysz się na mój widok?”.

Nie, nie, nie! Nigdy nie zrobi czegoś takiego.

Cieężko westchnęła i rzuciła magazyn na łóżko. Nie mogło być wątpliwości: jej Wewnętrzna Uwodzicielką twardo spała i była skryta zbyt głęboko, by mogła pokazać swą twarz w Marigold w stanie Indiana. Wprost niedorzeczne były rojenia, by Miriam Thornbury mogła aż tak się przeobrazić. Jest zbyt pragmatyczna, zbyt realistycznie patrzy na świat. Wszyscy uważają ją za osobę zrównoważoną i rozsądną, a przy tym zdolną i kompetentną.

Szarą i nudną, pomyślała ponuro. Nie ma nadziei, by Rory Monahan poświęcił jej choćby cień uwagi.

Niestety, myślała dalej, nawet gdybym była diablicą w błękitnej sukni, Rory i tak by mnie nie zauważył, bowiem bez reszty był pochłonięty pogonią za Wiedzą, przez wielkie „W”. Żadna diablica w błękitnej sukni nie zdoła zawrócić go z tej drogi, ba, nawet nie zyska choćby chwili jego uwagi. No, chyba że będzie trzymać w dłoni piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana, czy coś w tym rodzaju.

Hm, pomyślała Miriam z nadzieją.

Jak bardzo zależy ci na tym, by Rory Monahan zauważył ciebie? - spytała samą siebie. I natychmiast odpowiedziała sobie: „Bardzo, bardzo”. Przez ostatnie pół roku pragnęła tylko tego. Przez sześć miesięcy przychodziła do Biblioteki Publicznej Miasta Marigold tak samo ubrana i spotykała profesora siedzącego przy tym samym stoliku w czytelni, prowadzącego te same naukowe badania, a ona nieodmiennie tak samo

zachwycała się, gdy w jego niebieskich oczach dostrzegała te same iskierki, gdy uśmiechał się tym samym, nieśmiałym uśmiechem. I tym samym gestem przeczesywał niesforne włosy. I zawsze czuła to samo: podniecenie i zawstydzenie.

Przez ostatnie pół roku głowę miała pełną myśli, jakie wprost nie przystoją szanującej się bibliotekarce, albowiem przez cały ten czas miała przed oczyma najwspanialsze wizje. Marzyła o Rorym Monahanie, cały czas próbując sobie wytłumaczyć, skąd brało się to fantazjowanie. Lecz im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mniejszą miała pewność.

Nagle uświadomiła sobie, że bardzo chciałaby poznać prawdę, po lekturze artykułów w „Metropolitan” zrozumiała bowiem, że oto dostała do ręki zupełnie nową broń. Poważnie zaczęła rozważać, w jaki sposób mogłaby wykorzystać te porady. Choć profesor Monahan zawsze był dla niej uprzejmy i obdarzał ciepłym uśmiechem, to jednak nigdy nic nie wskazywało, by odwzajemniał jej... hm... zainteresowanie, oczywiście z wyjątkiem piętnastego tomu „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana.

Wiedza, powtórzyła. Tylko tego Rory Monahan oczekiwał od życia. Wiedza, wiedza i jeszcze raz wiedza. Miriam również bardzo ceniła wiedzę, ale...

Westchnęła ciężko. Bardzo chciałaby zademonstrować mu swoją erudycję. Gdy tak rozmyślała, przyszło jej do głowy, że być może - ale tylko być może - mogłaby wykorzystać wiedzę, którą właśnie zdobyła.

Może nie całą, pomyślała, gdy przypomniała sobie wszystkie przeczytane artykuły, tylko raczej jej znikomą część. Ale tak... troszeczkę. Mogłoby to być to czy tamto z artykułu o Wewnętrznej Uwodzicielce. Oczywiście pod warunkiem, że nie byłoby to dla niej zbyt upokarzające.

Lecz gra warta była świeczki, gdyż na widnokręgu jawiła się wielka nagroda: profesor Rory Monahan. I tylko to się liczyło.

Od czego więc mam zacząć? - pomyślała. Zaraz, zaraz, był tu gdzieś artykuł o tym, jak przestać być niewidoczną. Coś o siedmiu etapach uwodzenia. Tylko... ale przecież nie musiała pokazywać ich wszystkich, prawda? Nie zamierzała przecież zdruzgotać profesorka, w każdym razie jeszcze nie teraz. Lecz sforsowanie jednego czy dwóch etapów mogłyby dać oczekiwany efekt, pomyślała z nadzieją.

Poprawiła się na poduszkach, sięgnęła po czasopismo i zaczęła je czytać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rory był zirytowany. Miał absolutną pewność, że poprzedniego wieczora zostawił piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana na swoim stoliku w czytelnicy. Bez żadnych wątpliwości. A jednak po książce ani widu, ani słyhu.

Było to wyjątkowo tajemnicze wydarzenie, bo, jak dotąd, absolutnie nikt nie odważył się zabrać czegokolwiek z jego stołu w Bibliotece Publicznej Miasta Marigold. Wszyscy wiedzieli, jak ważne były dla niego te badania. Aż tu nagle, między zamknięciem biblioteki poprzedniego wieczora, a - spojrzał na zegarek - godziną za osiem trzecią po południu, ktoś potajemnie zabrał jego książkę.

Dobrze, dobrze, w końcu nie była jego własnością, wszak należała do

biblioteki, lecz bez względu na szczegóły, skutek był taki sam.

Zastanówmy się, pomyślał, kto może być winowajcą? Gladys Dorfman, sprzątaczką? Możliwe. Była w bibliotece do późna i miała ku temu wiele sposobności, a poza tym przed rokiem przychodziła na jego wykłady i okazywała przesadne wręcz zainteresowanie Peloponezem.

To mogło być znaczące.

Pan Amberson? - rozważał dalej Rory. Możliwe, lecz mało prawdopodobne. Wprawdzie dyrektor miał klucze do biblioteki i mieszkał samotnie, jednak jego zainteresowania kierowały się znacznie dalej na zachód i do czasów o dobre dwa tysiąclecia późniejszych, czyli do Nowego Świata w czasach kolonizacji.

Poza tym pan Amberson nie pracował poprzedniego wieczora i trudno przypuszczać, aby chciał mu się, bez jakiegoś bardzo ważnego powodu, fatygować do biblioteki po tę jedną książkę.

Tak, pan Amberson nie miał żadnego powodu, by zjawić się tutaj minionej nocy. Poprzedniego wieczora dyżur miała panna Thornbury i własnoręcznie zamykała biblio...

Panna Thornbury! Oczywiście, żęto ona jest sprawczynią zniknięcia książki. Przecież już poprzedniego dnia miała w swoim biurze piętnasty tom Stegmana, a poza tym mieszkała w Marigold dopiero od... Rory nie był pewien, od kiedy, ale na pewno niezbyt długo.

Tak, na pewno od niedawna. Ku swemu zdumieniu przypomniał sobie dzień, kiedy rozpoczęła pracę w bibliotece. Nie pamiętał daty, lecz ów dzień pamiętał świetnie. Padał wtedy śnieg, gdyż kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, weszła właśnie z dworu i miała czerwony nos, oczy załzawione od mrozu, a jej usta były takie czerwone i ponętne...

O czym to ja...?

A tak, zaginiony tom Stegmana. Było prawdopodobne, że panna Thornbury nic nie wiedziała o niepisanej umowie, zabraniającej ruszania czegokolwiek ze stołu profesora Monahana.

To, rzecz jasna, nie umniejszało jej winy, bo niewiedza nie może być usprawiedliwieniem przestępstwa, pomyślał Rory. Był pewien, że panna Thornbury zgodzi się z jego zdaniem.

Musiał więc tylko uświadomić jej, jak wielką wagę miały jego badania. Był to jej winien. Miał pewność, że kiedy wyjaśni sytuację, panna Thornbury już nigdy nie popełni tak wielkiego błędu, a nawet spodziewał się, że podziękuje mu za to.

Dostatecznie przekonany o powadze swojego zadania, Rory ruszył na poszukiwanie bibliotekarki, a także piętnastego tomu Stegmana. Zresztą nie musiał szukać daleko, bo panna Thornbury stała na drabinie o dwa rzędy regałów od jego stolika. Ustawiała właśnie na górnej półce...

O Chryste! Toż to piętnasty tom Stegmana! A więc ją przyłapał. Przygotował się do ataku. Podciągnął spodnie, wyżej przesunął zawinięte rękawy koszuli, poprawił krawat i obiema rękami przygładził rozwichrzone włosy. Przesunął jeszcze okulary na nosie i odważnie ruszył do boju, a w każdym razie śmiało wszedł między regały. I nie zatrzymał się, aż nie znalazł się u stóp drabiny.

A kiedy zatrzymał się tuż przy niej... zastygł. Okazało się bowiem, że na wysokości oczu miał biodra panny Thornbury. Spostrzegł też, że z boku jej prostej, czarnej spódniczki było rozcięcie, które otwarło przed profesorem historii zupełnie nowe widoki. I oto fanatyczny wielbiciel zamierzchłych czasów poczuł, że widok nogi panny Thornbury podziałał na niego...

podniecająco?

Niemożliwe.

Rory potrząsnął głową i zmusił się do podniesienia oczu. Na twarz bibliotekarki. Lecz nie dotarł tam spojrzeniem, albowiem ponad spódniczką z intrygującym rozcięciem panna Thornbury miała obcisłą i wielce czerwoną bluzeczkę. Bez rękawów. Która obnażała jej nagie ramię. I ten widok podziałał na niego... podniecająco?

Niemożliwe.

Rory podjął kolejną próbę odszukania twarzy panny Thornbury, lecz znów bezskutecznie, gdyż jego spojrzenie przykuły cudownie krągłe piersi, ciasno opięte dzianiną. Który to widok podziałał na niego... podniecająco?

Niemożliwe.

Przypomniał sobie nagle ostatnie spotkanie z ową młodą bibliotekarką. Stało się wtedy coś, co sprawiło, że nie mógł przestać myśleć o niej, a raczej o jej boskiej szacie. A przedtem zdarzało mu się widywać pannę Thornbury, oczywiście wyobraźni, w przeróżnych okolicznościach, na przykład na drabinie. Tak jak teraz.

O, ho, ho...

Wtedy też, pamiętał, trzymali się za ręce, nie mógł tylko przypomnieć sobie, dlaczego. Aha, no tak... Przyczyna była całkiem niewinna. Pomagał jej zbierać rozsypane czasopisma. Co to było...? Tak, „Metropolitan”. Nawet zdziwiło go to, zwłaszcza gdy przeczytał kilka nagłówków. Jeden z nich szczególnie zwrócił jego uwagę. Co to było? Coś o seksie oralnym...

Tak! Teraz przypominał sobie to bardzo dobrze; może nawet zbyt dobrze. Pamiętał, jak pełne i wabiące były usta panny Thornbury. Zastanawiał się nawet, czy i inne części jej ciała były równie kształtne i ponętne.

Przypomniawszy sobie również, że próbował wyobrazić sobie - ale to było już później, w nocy - jak by to było czuć jej usta na swoim ciele, zwłaszcza gdyby byli sami. W łóżku. I nadzy. O, ho, ho, doprawdy...

- Panno Thornbury - powiedział, by oderwać się od tych wspomnień i zmniejszyć dyskomfort w dolnych partiach swojego ubrania. Zawołał ją cichutko, bo przecież byli w bibliotece i nie chciał przeszkadzać innym.

Jednak dla panny Thornbury zrobił to nie dość cicho, bo wykonała gwałtowny wdech i zaczęła niebezpiecznie chwiać się na drabinie. Rory instynktownie zrobił krok do przodu i wyciągnął ramiona, żeby podtrzymać bibliotekarkę, lecz na próżno, bo Miriam spadła z drabiny prosto na Rory'ego. Ten usiadł ciężko na podłodze, a ona wylądowała mu na kolanach.

Przez chwilę oboje nie wiedzieli, co się stało i trwali w bezruchu. Rory siedział na parkiecie, a cały słodki ciężar Miriam... jakby to rzec... wgniatał się w niego. Dostarczyło mu to zdumiewających doznań.

Spojrzał na Miriam, ciekaw, czy nie odniosła żadnego uszczerbku. Owszem, to i owo zauważył, może nawet zbyt wyraźnie, jako że podczas upadku spódniczka panny Thornbury przesunęła się, odsłaniając dużo więcej niż zazwyczaj.

I oto Rory przekonał się, że jego wyobrażenie mlecznych ud boskiej panny Thornbury dalekie było od rzeczywistości. .. bowiem jej mlecznobiałe udo było tak gładkie i jedwabiste jak tafla ciepłego szkła, i tak gorące, jak letnie słońce. Zastanawiał się leniwie, skąd wiedział, że jej udo było gładkie i gorące. Nagle, ku swemu zaskoczeniu - nie, przerażeniu - zorientował się, że jego dłoń spoczywała na tym udzie, jakby miała do tego prawo.

Gwałtownie cofnął rękę, mamrocząc przeprosiny i przez krótką chwilę poczuł na sobie łagodne spojrzenie panny Thornbury. Pomyślał nawet, że

Miriam poprosi go, by położył jeszcze raz rękę tam, gdzie spoczywała wcześniej i ze zdumieniem uświadomił sobie, że bardzo tego chce. Delikatnie zagiął palce, by natychmiast spełnić jej prośbę...

Lecz się nie doczekał, bowiem panna Thornbury zerwała się na równe nogi i nerwowymi ruchami uporządkowała na sobie garderobę, natomiast Rory wciąż tkwił w bezruchu, zupełnie osłupiały, ponieważ ubranie Miriam było dużo bardziej... kuse i dużo bardziej... czerwone niż to, w którym zwykle przychodziła do pracy.

I jeszcze jej włosy. Tego dnia również z nimi działo się coś dziwnego. Nie była uczesana jak zwykle i chyba je rozpuściła? Bowiem dopiero w tej chwili zauważył, jak bardzo były długie i jak wdzięcznie spływały z jej ramion, zawijając się wokół piersi. I nigdy dotąd nie połyskiwały aż tak bardzo. No i nigdy przedtem nie czuł takiej gwałtownej potrzeby wzięcia ich w dłoń i przysunięcia sobie do twarzy, by poznać ich zapach, a potem przesunięcia po nich ustami i...

Wielkie nieba! Co się z nim działo tego dnia?! Zupełnie zapomniał, po co ruszył na poszukiwanie panny Thornbury, bo przecież nie po to, żeby zachwycać się jej włosami, prawda? Oczywiście! Po cóż więc jej szukał? Nie mógł sobie przypomnieć.

Gwałtownie potrząsnął głową, jakby próbując odegnać złe myśli, ale przecież nie miał ich w swojej głowie. Wszak myślał tylko o panie Thornbury, o jej udach, włosach, ustach i... Zaraz, zaraz. Przecież o jej ustach nie myślał, czyż nie? Owszem. Lecz właśnie zaczął myśleć, gdyż spostrzegł, jak bardzo były kształtne, pełne i ponętne. I bardziej niż zwykle czerwone. Znow zaciśnął palce, ponieważ ogromnie zapragnął dotknąć tych ust i...

Rory Stęknął głucho. Zaciśnął powieki, mocno przycisnął do boków

zwinęte w pięści dłonie i by okiełznać szalone myśli, zaczął powtarzać sobie ważne historyczne daty. Wielka Karta Swobód została podpisana w roku 1215, myślał. Reformacja protestancka rozpoczęła się w roku 1517. Zniesienie niewolnictwa proklamowano w roku 1862. Stany Zjednoczone kupiły Alaskę od Rosji w roku 1867. Usta panny Thornbury były pełniejsze, bardziej wydatne i czerwone niż zwykle w roku 2001.

Psiakrew! Otwarł oczy. Prawie mu się udało.

- Panno Thornbury - powiedział cicho. Wbił wzrok w regał za jej plecami, byle jak najdalej od jej ust, oczu i włosów. I mlecznobiałych gorących ud.

Dobry Boże, człowieku! Weź się w garść!

- Nic się pani nie stało? - spytał. Wciąż nie patrzył na Miriam, tylko na książki.

- Nie, nic - odparła, lekko zadyszana.

- Bardzo przepraszam, że... przestraszyłem panią - dodał. Chociaż zrobił to raczej z grzeczności, gdyż ona przestraszyła go chyba bardziej.

- Nie ma za co - odparła. - Naprawdę nic się nie stało. - Jakaż była naiwna... - Czy chciał pan czegoś ode mnie, profesorze Monahan? - spytała.

Dużo dałby, żeby nie zadała tego pytania w taki sposób, albowiem aż za dobrze wiedział, że było coś, czego tak naprawdę chciałby od niej. I to bardzo. Goś, czego pragnął tylko od panny Thornbury, a czego już od tak dawna nie otrzymał od żadnej kobiety. I to coś, całkiem niespodziewanie, nagle stało się tak ważne, że rychłe nieotrzymanie tego czegoś mogłoby spowodować eksplozję profesora.

Dla porządku warto dodać, że wcale nie był to piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana.

- Ja, hm... - zaczął Rory z udawaną lekkością. - Otóż ja... Chciałem powiedzieć... Ach...

Podczas gdy plątał się i dukał, panna Thornbury schyliła się, by podnieść książkę, która upadła wraz z nimi, lecz jako osoba dobrze wychowana ani na chwilę nie oderwała oczu od Rory'ego. Miało to ten skutek, że Rory cały czas podążał za nią spojrzeniem i przypadkiem - nie zrobił tego celowo, słowo - wbił wzrok w... No cóż, jej obcisła bluzeczka nie była aż tak obcisła, bo krawędź dekoltu nieco się rozchyliła i Rory zapatrzył się w skrawek kobiecych piersi zamkniętych w...

Wielkie nieba!

Był zbulwersowany, co tam, był wstrząśnięty! Okazało się, że panna Thornbury nosiła - nawet w myślach przeszedł do szeptu - różową koronkową bieliznę.

Nie podejrzewał jej o to.

Oczywiście nie spędzał czasu na rozważaniach dotyczących bielizny panny Thornbury. No, powiedzmy, przynajmniej do tej pory nie poświęcał temu zagadnieniu przesadnie dużo czasu, przedtem bowiem wyobrażał sobie intrygującą bibliotekarkę w stroju bogini i nigdy nie przyszło mu do głowy, by mogła nosić różową koronkową bieliznę. Prędzej zgodziłby się na białą bawełnianą, czyli funkcjonalną, praktyczną, bez falbanek i ozdóbek. Tak uważał dotychczas, dopóki nie ujrzał panny Thornbury w wąskiej spódnicy, obcisłej bluzeczce i z czerwoną szminką na ustach. Teraz zaś...

Zaraz, zaraz. Czemuż to zajął się nagle rozważaniami o damskiej bieliźnie? Co się z nim dzieje? Przecież jest tyle ważniejszych spraw. Naprawdę mnóstwo. Dlaczego jednak nie może przypomnieć sobie choćby jednej z nich?

Potarł dłonią czoło, próbując usmierzyć ból głowy, który pojawił się nie wiadomo skąd, a potem pomyślał, że najprościej byłoby odwrócić się na pięcie, wyjść z biblioteki i zacząć wszystko od nowa. Może wtedy panna Thornbury miałaby już na sobie swoje zwykłe, codzienne ubranie? I może włosy związałyby w ten sam co zawsze koński ogon? A wtedy wreszcie tętno Rory'ego wróciłoby do normalnego poziomu?

Albowiem tego dnia, gdy ona wyglądała tak niezwykle - a on czuł się inaczej niż zazwyczaj - Rory dokonał ważnego odkrycia. Zrozumiał, że ponieważ myśli tak miał zajęte panną Thornbury, a dokładniej mówiąc, jej ustami, udami i bielizną, potrzebna mu była długa chwila, by ochłonąć. Po raz pierwszy od bardzo dawna zdarzyło mu się, by zawładnęło nim coś innego niż praca naukowa. A tym czymś była kobieta!

Tak, kiedyś, przed wielu laty Rory był zajęty kobietą, i to tak bardzo, że niemal z nią się ożenił. Tamta, rzecz jasna, w niczym nie przypominała panny Thornbury, osoby praktycznej i pragmatycznej, skrupulatnej i kompetentnej, statecznej i zrównoważonej. A raczej była taka, dopóki nie włożyła obcisłej spódniczki i bluzeczki. I zanim nie pomalowała ust jaskrawą, czerwoną szminką. Narzeczona Rory'ego stanowiła jej całkowite zaprzeczenie. Rosalinda była...

Chyba najlepiej można było ją scharakteryzować słowami: dobrze zbudowana, z pustą głową. Nie, nie była głupia... nie aż nazbyt, ale przecież nigdy nie potrafiła zapamiętać daty bitwy pod Hastings! Niezwykle go to zdumiewało, gdyż był to numer PIN- u ich konta bankowego. Niestety Rosalinda rzadko myślała o innych i była tak zapatrzona w siebie, że rzuciła Rory'ego bez istotnego powodu. Co gorsza, nawet nie raczyła mu o tym powiedzieć, dopóki trzy miesiące później nie wyszła za mąż za innego.

Oczywiście gdyby Rory obserwował rzeczywistość nieco uważniej, mógłby zauważyć znacznie wcześniej, niż po kwartale, że Rosalinda znikła z jego życia, bo przecież były różne tego symptomy. Dostrzegł je nawet bardzo wyraźnie, ale dopiero wtedy, gdy dostał od niej depeszę, że już do niego nie wróci. Wówczas dopiero pojął znaczenie faktu, że któregoś dnia znikły z szafy jej ubrania. Zrozumiał też, że to, iż nie widywał jej od dłuższego czasu, wcale nie było spowodowane jej wczesnym wychodzeniem do pracy i późnymi powrotami, tylko zmianą miejsca zamieszkania.

Ale to była już przeszłość.

Teraz najważniejsze było, by jakaś kobieta znów nim nie zawładnęła, bo to groziło kompletną ruiną jego ustabilizowanego życia. Odejście Rosalindy, gdy je w końcu zauważył, wytrąciło go z równowagi na kilka tygodni. Nie chciałby przeżywać tego ponownie. Rory nie był człowiekiem towarzyskim, bowiem zbyt mocno absorbowały go inne sprawy. Zadowolony był ze swojego życia i absolutnie nie marzył o jakimś burzliwym związku z kobietą, której musiałby, od czasu do czasu, poświęcić nieco uwagi. Naprawdę w zupełności wystarczało mu to, co miał. W każdym razie tak było jeszcze przed kilkoma minutami.

Tak czy siak, Rory uważał, że kobieta nie jest mu do szczęścia potrzebna. Bo i po co? Cóż bowiem nowego mogłaby wnieść w jego życie?

Gdy panna Thornbury wyprostowała się, jej piersi miękko zafalowały i przykuły wzrok profesora, którego spojrzenie w chwilę potem przesunęło się w dół, do rozcięcia w spódnicy. I gdzieś bardzo, bardzo głęboko w jego duszy drgnęło coś, co od bardzo dawna nie dawało znaku życia.

No dobrze, być może było coś nowego, co panna Thornbury mogłaby wnieść w jego życie, ale czy było to aż tak ważne, by poświęcić temu

dotychczasowy spokój?

I znowu, gdzieś bardzo głęboko w jego duszy, coś podskoczyło jak przypalone żywym ogniem. No dobrze, być może znalazłby się jakiś ważny powód, uznał.

Ta kobieta jest bardzo atrakcyjna, pomyślał, przyglądając się jej z uwagą. Jej włosy wyglądały na miękkie i puszyste, a oczy... były urocze. No i te usta... Ale dość już tych rozważań! Czy jednak zdoła posłuchać samego siebie?

- Szczerze mówiąc, panno Thornbury - powiedział - zapomniałem, czego od pani chciałem.

I pomodlił się w duchu, by Bóg nie pokarał go za tak oczywiste kłamstwo, wszak doskonale wiedział, czego chciał. Chciał panny Thornbury, choć nikomu za żadne skarby nie przyznałby się do tego. Zwłaszcza jej. Bo przecież stan ten nie może trwać długo. Był tego pewien.

- Jeszcze raz przepraszam, że panią przestraszyłem - powiedział.

Gdy uśmiechnęła się do niego, to coś w środku znowu w nim ożyło.

- Proszę nie martwić się - odparła Miriam i przycisnęła do piersi grubą książkę.

To Stegman, pomyślał Rory... Ach tak! Przecież właśnie o to chciał spytać pannę Thornbury, czyż nie? O piętnasty tom Stegmana, prawda? Wreszcie przypomniał sobie. A panna Thornbury chciała wstawić go na półkę i teraz przyciskała do piersi. Do pełnych, jędrnych...

Och! Już nigdy nie będzie mógł patrzeć na „Przewodnik po wojnie peloponeskiej” Stegmana tak jak wcześniej.

- Czy to jest tom piętnasty? - spytał cicho. Popatrzyła na książkę, a potem na Rory'ego.

- Owszem, tak. Czytałam go podczas lunchu, a teraz zamierzałam odstawić na miejsce.

- Ależ panno Thornbury, jego miejsce jest na moim stoliku.

Była zdumiona.

- Na pańskim stoliku? - powtórzyła. Pokiwał głową.

- Widzi pani, korzystałem z tej książki poprzedniego wieczora i zostawiłem na moim stoliku, ponieważ wiedziałem, że będę potrzebował jej dzisiaj. Jestem pewien, że tam właśnie znalazła ją pani. Miriam zastanawiała się przez chwilę.

- Tak, ma pan rację - powiedziała. - Nie wiedziałam jednak, że pan z niej korzystał.

- Teraz już pani wie - odparł Rory.

Zamierzał jeszcze jej uprzytomnić, że stolik, z którego zabrała dzieło Stegmana, należał do profesora Monahana, a także dodać, że nigdy nie powinna dotykać żadnej leżącej na nim książki. Potem chciał jeszcze mocno podkreślić, jak wielką wagę miały prowadzone przez niego badania i jak niezwykle istotne było, by istniało takie miejsce, gdzie mógłby kontynuować je bez przeszkód.

Niestety w tym właśnie momencie panna Thornbury wyciągnęła ku niemu rękę z książką, a jego owionął delikatny zapach lawendy. Rory zaniemówił. Nawet gdyby dzięki temu miał osiąść tajemnicę przemiany ołowiu w złoto, nie potrafiłby wydusić ani słowa.

Tak więc w milczeniu wziął książkę i udawał, że nie dostrzega, jak ciepłą stała się okładka od przyciskania jej do tych uroczych piersi. Z trudem wymamrotał pod nosem jakieś przeprosiny, obrócił się na pięcie i wrócił do swojego stolika. Do studiów i badań.

Wmawiał sobie, że wcale nie uciekał w panice przed atrakcyjną dziewczyną i usilnie przekonywał samego siebie, że nie istnieje nic ważniejszego niż jego naukowe poszukiwania.

Czuł jednak, że już tego dnia nie będzie mógł myśleć o niczym więcej, jak tylko o... walorach panny Thornbury. Zrozumiał też, że słowo „poszukiwania” nabrało dlań zupełnie nowego znaczenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wszystko poszło doskonale, pomyślała Miriam, patrząc na plecy odchodzącego pospiesznie profesora Monahana. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele można osiągnąć przy pomocy kusej spódniczki, obcisłej bluzeczki i jaskrawo- czerwonej szminki. Gdyby wiedziała, że daje to kobiecie tak wielką przewagę nad mężczyzną, wykorzystałaby to znacznie wcześniej.

Inna sprawa, iż dotychczas nie było mężczyzny, nad którym chciałyby zyskać przewagę. Wprawdzie przeżyła kilka romantycznych przypadków, a jeden z nich przez jakiś czas zdawał się być nawet czymś poważniejszym, lecz wszystkie trwały nie dłużej niż mgnienie wiosny i nie pozostawiły śladu na duszy. Miriam była pewna, że do żadnego z tamtych mężczyzn nie czuła... Mniejsza z tym, jak to nazwać, ale na pewno nie przeżywała tego, co czuje teraz, w związku z Rorem Monahanem.

Ale co, tak dokładnie, czuje do Rory'ego Monahana? - pytała samą siebie. Do wczoraj sądziła, że zadurzyła się w nim i karmiła nadzieją, że również jego doprowadzi do takiego stanu.

Jednak po ostatnich wydarzeniach nabrała przekonania, że jej uczucia do profesora były znacznie poważniejsze niż zwykłe zadurzenie, oraz że wcale nie jest mu obojętna. Przypomniła sobie, jak na nią patrzył, z takim ogniem w oczach, a także jak gwałtownie zacisnął palce na jej nagim udzie...

Coś gwałtownego i gorącego zaczęło budzić się w niej do życia. Coś bardzo ważnego i kompletnie nieznanego. Coś, czego nie zaznała nigdy przedtem.

Prawie nabrała przekonania, że oto zbudziła się jej Wewnętrzna Uwodzicielką.

Wielkie Nieba! - pomyślała, a więc „Metropolitan” miał rację. W sprawie profesora Monahana naprawdę przeistoczyła się z osoby niewidzialnej w... coś całkiem wyraźnie dostrzeganego. I nie potrzebowała do tego aż siedmiu etapów uwodzenia, pokonała bowiem zaledwie dwa pierwsze. Włożyła „widoczne” ubranie oraz użyła jaskrawoczerwonej szminki, i proszę, od razu jaki skutek! Postępując tak dalej, może wcale nie będzie musiała posuwać się aż do etapu siódmego, czyli...

Nawet nie chciała myśleć, do czego mogłaby się posunąć, w każdym razie nie w miejscu publicznym, na dodatek utrzymywanym z podatków ciężko pracujących obywateli.

Wolała rozmyślać o zdumiewających sukcesach, jakie osiągnęła na polu uwodzenia Rory'ego Monahana. Po pierwsze na pewno ją zauważył, bez żadnych wątpliwości. Dumna była z tego, czego dokonała, bo przecież sama wymyśliła, że aby zwrócić na siebie uwagę mężczyzny, trzeba posiadać coś, czego on na pewno pragnie. A czegoż bardziej może pragnąć mężczyzna, niż piętnastego tomu „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana, co?

Jeśli nadal wszystko będzie szło tak jak dotychczas, pomyślała Miriam z

nadzieją, to niedługo Rory Monahan znacznie bardziej zapragnie czegoś innego, czyli wszystkich tomów panny Miriam Thornbury, ze wszystkimi indeksami, suplementami, tabelami i wykresami.

Z uśmiechem zaczęła obmyślać, w jaki sposób wprowadzić w życie trzeci etap uwodzenia, czyli cięty i błyskotliwy język. Uznała, że nim się tym zajmie, powinna trochę potrenować. Przecież wcale nie musi się spieszyć, bo tego dnia udało się jej sprawić, iż Rory Monahan ją zauważył. Gdyby była od razu przeszła do trzeciego kroku, mogłoby to być dla niego zbyt wiele, a przecież nie chciała zdruzgotać biedaczka, tylko...

Poza tym nie była przygotowana na wypadek, gdyby sprawy nadal toczyły się równie sprawnie i szybko. Gdyby Rory zdecydował się... jeszcze raz ścisnąć jej udo... lub jakąś inną część ciała... Miriam chciała być dobrze przygotowana na taką okoliczność.

No, no, pomyślała z uśmiechem i dziwnym skurczem żołądka. Nigdy przedtem nie czytała „Metropolitan”, a teraz wprost nie mogła doczekać się chwili, kiedy wróci do domu i zajrzy do czasopisma w poszukiwaniu kolejnych mądrości.

Przed przystąpieniem do realizacji następnej fazy swojego planu Miriam zostawiła Rory'emu Monahanowi tylko tyle czasu, ile potrzeba było, by zdołał dojść do siebie. Trochę też dopisało jej szczęście, bo dwa dni po tym, jak zbudziła się jej Wewnętrzna Uwodzicielka, przeczytała w lokalnej gazecie, że na uczelni w Marigold zaczynają się ostatnie tego lata kursy dla dorosłych. Jeden z nich, intensywny, pięcioletni, miał być prowadzony przez profesora Rory'ego Monahana. Temat: „Wprowadzenie do cywilizacji klasycznych, część druga”.

Miriam kilka razy przeczytała ogłoszenie, wprost nie mogąc uwierzyć w

swoją szczęśliwą gwiazdę. Nie tylko może zapisać się na kurs prowadzony przez Rory'ego Monahana, to jeszcze posłucha wykładów na temat, który od dawna ją interesował. Naprawdę wyjątkowy zbieg okoliczności.

W drodze do pracy wstąpiła na uczelnię i wpisała się na listę. Wykłady, ku jej zadowoleniu, zaczynały się w najbliższy poniedziałek wieczorem. Zaraz po przyjeździe do biblioteki porozmawiała z Lucy Chin, jedną z młodszych bibliotekarek, i tak uzgodniły godziny pracy, by mogła bez kłopotów uczęszczać na zajęcia.

Intensywny, myślała Miriam, idąc do sali wykładowej. Tak określono kurs, który miał prowadzić profesor Monahan. Intensywny. Och, co za piękne słowo! Miała nadzieję, że będzie bardzo intensywny.

Przed wykładem wstąpiła do toalety, żeby poprawić uczesanie i użyć jaskrawoczerwonej szminki, która w poprzednim tygodniu tak wspaniale podziałała na profesorka. Przez moment przyglądała się swojemu odbiciu. Idąc za radą „Metropolitan”, przed kilkoma dniami dokonała niewielkich zakupów, by uzupełnić swoją garderobę o trochę modeli śmiałych i wesołych. I tak miała na sobie szafirowe, trykotowe, obcisłe krótkie spodnie i tego samego koloru bluzkę bez rękawów. Nie odrywając oczu od lustra, podjęła odważną decyzję, a mianowicie rozpięła górny guzik bluzki.

Toż to prawie zuchwalstwo! Miała nadzieję, że profesor Monahan nie będzie zbyt poruszony jej, czy raczej Wewnętrznej Uwodzicielki postępowaniem. Bo przecież to nie ja, tylko ona rozpięła guzik, pomyślała Miriam, bo ja, broń panie Boże, nigdy bym tak nie uczyniła. Cóż jednak mogła poradzić na to, że jej Wewnętrzna Uwodzicielką nie miała, jak widać, żadnych zahamowań?

Lecz gdy tylko Miriam odwróciła się od lustra, natychmiast opadły ją

wątpliwości. Czy naprawdę tego chciała? Czy chciała być tak... śmiałą kusicielką? Przecież z natury była skromną i cichą myszką, a nie śmiałą zdobywczynią męskich serc... A co będzie, gdy okaże się, że Rory zakocha się w jej Wewnętrznej Uwodzicielce, a nie w niej samej?

Wszak mogło tak się zdarzyć, czyż nie? Przecież przed dniem, w którym obudziła Wewnętrzną Uwodzicielkę, Monahan właściwie wcale nie zwracał na nią uwagi. Owszem, zawsze, gdy wchodził do biblioteki, witał się z nią bardzo grzecznie i zatrzymywał się na krótką pogawędkę, zwykle też szarmancko odprowadzał ją do samochodu, gdy wieczorami, jako ostatni, opuszczali bibliotekę.

Działo się tak jednak pewnie dlatego, że zwykle jego auto stało w pobliżu jej samochodu, a może po prostu był zbyt dobrze wychowany, by pozwolić samotnej kobiecie spacerować po ciemnym parkingu? Wcale nie musiało to wynikać z jakiegoś szczególnego zainteresowania jej osobą.

Jednak wiedziała, że lubił ją, przynajmniej w chwilach, gdy poświęcał jej odrobinę uwagi. Westchnęła ciężko. Niestety, dostrzegał ją bardzo rzadko. Można by pomyśleć, że bardziej lubił jej Wewnętrzną Uwodzicielkę, bowiem poświęcił jej dużo więcej uwagi.

Ale w końcu to moja Wewnętrzna Uwodzicielką, prawda? - pomyślała buntowniczo. Czyli że, w jakiejś przynajmniej części, jest mną, Miriam Thornbury...

Prawda?

Tymczasem próbowała zapomnieć o nieprzyjemnym ucisku w żołądku. Wyprostowała plecy i wyżej uniosła głowę. Miała nadzieję, że wygląda na osobę świadomą swoich walorów i pewną siebie. Zebrała swą wewnętrzną moc i postawiła wszystko na jedną kartę: odpięła drugi guzik u bluzki.

Co mam powiedzieć? - pomyślała. Przecież nie ja to zrobiłam, tylko Wewnętrzna Uwodzicielka.

Rory zapisał na tablicy temat pierwszego wykładu intensywnego, pięcioletniego kursu „Wprowadzenie do cywilizacji klasycznych, część druga” i odwrócił się do słuchaczy. Zwykle nie prowadził zajęć na letnich kursach wieczorowych, bo ten czas rezerwował na własną pracę naukową, jednak tym razem prowadząca te zajęcia wykładowczyni stanęła przed nieprawdopodobną szansą, a mianowicie zaproponowano jej wyjazd do Pireusu, by tam mogła prowadzić badania nad dokonaniem Hippodamosa z Miletu. Rory w żadnym wypadku nie mógł odmówić jej prośbie, tym bardziej, że obiecała podzielić się z nim swoimi notatkami i fotografiami.

Kiedy stanął twarzą w twarz ze słuchaczami, pomyślał, że może nie będzie tak źle. Raz, że odpowiadał mu temat kursu, a dwa, że nic nie cieszyło go bardziej, niż dzielenie się swoją wiedzą z innymi. Nauczanie, zdaniem Rory'ego, przynosiło prawie tak samo dużo satysfakcji i zadowolenia, co uczenie się, zwłaszcza wtedy, gdy, patrząc na słuchaczy, widział twarze tak inteligentne, zaciekawione, chętne i...

I słodkie, pociągające, o pełnych czerwonych...

Na Boga, czy to nie panna Thornbury, o ustach czerwonych, pełnych i chętnych, siedziała w pierwszym rzędzie?! I z gołymi łydkami? Z dwoma rozpiętymi guziczkami? Czy to była ona?

O! Czyżby zanosilo się na bardzo długi pięcioletni kurs? - pomyślał Rory. I bardzo intensywny...

Westchnął ciężko, odłożył kredę pod tablicę, odepchnął się od ściany i usiadł. Odchrząknął i zaczął:

- Dobry wieczór państwu. Nazywam się Rory Monahan, a ten kurs jest

zatytułowany „Wprowadzenie do cywilizacji klasycznych, część druga”. Mam nadzieję, że wszyscy znaleźli się we właściwym miejscu.

Jedna z osób wstała, pozbierała swoje rzeczy i wyszła. Najwyraźniej nie znalazła się we właściwym miejscu. Nie była to jednak panna Thornbury, co wywołało w Rorym uczucia mieszane. Z jednej strony dużo łatwiej byłoby mu prowadzić zajęcia, gdyby nie rozpraszał go widok ust panny Thornbury, czy raczej całej panny Thornbury, siedzącej w pierwszym rzędzie, dokładnie na wprost niego, z drugiej jednak strony wyjątkowo przyjemnych wrażeń dostarczał mu widok ust panny Thornbury, czy raczej całej panny Thornbury, siedzącej w pierwszym rzędzie, dokładnie na wprost niego.

Co robić? Ot, dylemat.

Zresztą, nad czym on się zastanawiał? Musiał poprowadzić wykład i tyle. Nie mógł wszak wyprosić jednej ze słuchaczek tylko dlatego, że była zbyt ponętna i atrakcyjna, nieprawdaż? Byłoby to wysoce niestosowne, a prawdę mówiąc, po prostu skandaliczne. Dopiero by się zaczęło! Całe Marigold w stanie Indiana zatrzęsłoby się z oburzenia na taką dyskryminację na tle seksualnym. Ależ wybuchłaby afera! Poza tym Rory wcale nie chciał dyskryminować seksualnie panny Thornbury. To, o czym myślał, seksualny kontekst cały czas mając na względzie, na pewno nie było dyskryminacją.

O niebios! Dokąd to ulatywały jego myśli tego wieczora? Na pewno nie miało to żadnego związku z przedmiotem kursu. Był to widomy, wręcz naukowy dowód na to, że nie mógł pozwolić sobie na żadne plany związane z panną Thornbury, bo była zbyt absorbująca. Jego studia i badania przepadłyby z kretesem.

Ale czy naprawdę byłoby to takie złe? - pomyślał.

Kiedy wyraźnie uzmysłowił sobie, jakaż to myśl zrodziła się mu w

głowie, przeżył prawdziwy wstrząs. Przecież było absolutnie oczywiste, że oderwanie się od pracy naukowej byłoby czymś bardzo złym, wręcz fatalnym, bo jego studia i poszukiwania były dla niego wszystkim. Życie bez nieustannej pogoni za wiedzą byłoby... byłoby...

Byłoby zupełnie bezwartościowe i puste, pomyślał. Czy istnieje bowiem jakiś inny, równie ważny powód do życia, jak poszukiwanie wiedzy?

Nieuchronnie jego spojrzenie wróciło do panny Thornbury, do jej nóg, ramion, dwóch odpiętych guzików i ust. I zaczęła świtać mu w głowie heretycka myśl, że być może jednak, oprócz wiedzy, znalazłoby się to, czy owo, czy tamto, dla czego warto by żyć.

Chrząknął cicho. Spróbował uporządkować myśli i zająć się wykładem.

- Nazywam się Rory Monahan - zaczął ponownie. - Podczas tego kursu zajmiemy się czasami między rokiem 735 przed naszą erą, to znaczy rozpoczniemy od wojen Sparty, a rokiem 565 naszej ery, czyli do śmierci cesarza Justyniana I Wielkiego, który próbował odbudować potęgę i obszar dawnego imperium rzymskiego. To szmat czasu. Ale niezwykle pasjonujący - dodał z uśmiechem. - Jeśli jednak będziemy pracować sumiennie i w skupieniu, a przede wszystkim uważnie czytać to, co konieczne, na koniec kursu będziemy znacznie mądrzejsi. A zatem, zaczynajmy.

Nie zwlekając, Rory rozpoczął wykład. Mieli przecież tylko trzy godziny przez dwa dni w tygodniu i ogrom materiału do przerobienia. Profesor Monahan mówił z pasją. Ilekroć podnosił wzrok, by popatrzeć na słuchaczy, zawsze napotykał uważnie spojrzenie panny Thornbury. Zdawała się pilnie łowić każde jego słowo, czego nie można było powiedzieć o wszystkich studentach.

Dwadzieścia pięć minut po siódmej, dokładnie po osiemdziesięciu

pięciu minutach zajęć, Rory ogłosił dziesięciminutową przerwę.

- Ale tylko dziesięć minut - podkreślił. - Zaczynamy dokładnie o siódmej trzydzieści pięć. Proszę nie się spóźniać. Jak już powiedziałem, przez tych pięć tygodni mamy bardzo dużo do zrobienia.

Wszyscy słuchacze opuścili salę. Wszyscy, oprócz panny Thornbury. Ona jedna została na miejscu! I, jak czyniła to przez ostatnie półtorej godziny, nie spuszczała z niego wzroku. Rory poczuł się nieswojo.

- Tak - rzucił niespodziewanie. - Jestem zaskoczony, że widzę tu panią, panno Thornbury. Nie zauważyłem pani nazwiska na liście. Teraz dopiero spostrzegłem, że zostało dopisane na końcu.

- Zapisałam się dopiero w piątek - odparła - ale powiedziano mi, że jeszcze nie jest za późno.

- Ależ tak, oczywiście - odparł. - Na naukę nigdy nie jest za późno.

Czy to ja gadam takie bzdury? - jęknął w duchu. Do takiej atrakcyjnej dziewczyny? Z gołymi łydkami i dwoma rozpiętymi guzikami?!

Jednak panna Thornbury wcale nie wydawała się dotknięta jego bezmyślną uwagą, tylko cudownie uśmiechnęła się i powiedziała:

- Tak, ma pan rację, profesorze Monahan. Nigdy nie jest za późno na... naukę.

Odniosł dziwne wrażenie, że wymawiając ostatnie słowo leciutko zniżyła głos. I zamruczała jak kotka. W ogóle, wydawało się mu, że tego wieczora mówiła głosem zdecydowanie innym niż zazwyczaj, wyraźnie niższym i jakby leciutko zachrypniętym.

- Panno Thornbury, czy pani się przeziębiała? Dostrzegł w jej oczach iskierki... strachu? Dziwne.

- Nie - odparła wciąż takim samym głosem. - Mogę wiedzieć,

dlaczego pan o to pyta?

- Chyba ma pani chrypkę.

Nie mógł zrozumieć jej reakcji, bowiem na te, tak przecież niewinne słowa, oblała się gorącym rumieńcem. Nie umiał dostrzec przyczyny.

Następna straszna myśl przyszła mu do głowy: a może miała gorączkę?

- Nic mi nie jest - odparła cicho. Tym razem jej głos zabrzmiał troszkę bardziej zwyczajnie. .

Lecz jej policzki wciąż pałały i Rory musiał stoczyć ze sobą ciężką bitwę, by ich nie dotknąć, oczywiście tylko po to, by upewnić się, że nie miała podwyższonej temperatury. Tylko dlatego. Wynikało to z jego troski o zdrowie panny Thornbury.

- To dobrze - powiedział, jednak wcale nie czuł się przekonany.

Poza tym jej spojrzenie dekoncentrowało go. Nie odrywała oczu od jego twarzy, jakby szykowała się do powiedzenia mu czegoś bardzo, ale to bardzo ważnego. Zaintrygowany, czekał.

Czekał, czekał, czekał.

Trwało to, tak naprawdę, niecałą minutę i przez cały ten czas panna Thornbury wpatrywała się weń w skupieniu, jakby usiłowała rozwikłać wyjątkowo trudną zagadkę. Na koniec wreszcie odezwała się, a to, co powiedziała, zaskoczyło go kompletnie.

- Profesorze Monahan? - spytała ostrożnie. - Czy miałby pan coś przeciw temu, bym mówiła panu po imieniu?

Nie zdołał ukryć zdumienia. Było to żądanie niesłychane, zupełnie bez precedensu. Gdyby złożyła taką propozycję jako bibliotekarka, w miejscu swojej pracy, byłoby to co prawda równie zaskakujące, ale w jakimś stopniu zrozumiałe, lecz tutaj?! Kiedy była jego studentką?! Naprawdę niesłychane.-

Chodzi mi o to, że w pewnym sensie jesteśmy kolegami po fachu - powiedziała. - Oboje pomagamy ludziom wzbogacać ich wiedzę.

Rory gwałtownie otworzył usta. Naprawdę nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Jesteśmy też chyba rówieśnikami, prawda? - ciągnęła. - Ile ma pan lat?

Tym razem Rory Stęknął głucho. Tak osobistego pytania nie zadał mu jeszcze nikt spoza najbliższej rodziny. Zresztą rodzice, wujkowie, ciotki i inni z nim spokrewnieni też nie zadawali takich pytań, ale pewnie dlatego, że dobrze wiedzieli, w jakim był wieku.

Wtedy przyszło mu do głowy, że może panna Thornbury piła. To tłumaczyłoby chrypkę i wypieki na twarzy. Wcale jednak nie wyglądała na pijaną...

- Ja... mam... trzydzieści dwa lata - wybąkał zdumiony, że to powiedział.

Uśmiechnęła się uroczo.

- Sam pan widzi - powiedziała. - Ja mam dwadzieścia osiem, więc praktycznie, tak jak myślałam, jesteśmy niemal rówieśnikami.

- Tak... To prawda... Ale ja...

- Poza tym mamy bardzo zbliżone zainteresowania, prawda? Choćby cywilizacje klasyczne.

- Chy... Chyba tak... Ale ja...

- Będzie więc miało sens, gdy będę nazywała cię Rory.

- Ja... ja... ja...

- A ty możesz mówić do mnie Miriam.

Zaraz, zaraz, chwileczkę! - chciał zawołać, lecz jednak, ku własnemu

zdumieniu, powiedział: - No... dobrze.

- Tym bardziej, że jestem teraz twoją... uczennicą - dodała. Jej głos znów zaczął przypominać pomrukiwanie kotki.

Bardzo niezwykle, wręcz zdumiewające, pomyślał. Czyżby jednak wypła?

- Zawsze chciałam poznać to... czego możesz nauczyć — ciągnęła tym samym dziwnym głosem. - Rory - dodała z jeszcze głębszym, wibrującym tonem.

- Ro... zu... miem - wystękał z trudem.

Zrobiło się nagle strasznie gorąco i duszno. Czyżby ktoś wyłączył klimatyzację? - pomyślał.

- W takim razie... - zaczął. - W takim razie znalazłaś się we właściwym miejscu, prawda? - I, żeby nie zabrzmiało to niegrzecznie, dodał: - Miriam.

- O! Mam nadzieję - odparła z uśmiechem. Był to uśmiech, który wprawił go w jeszcze większe zakłopotanie, aniżeli jej słowa, miał bowiem w sobie coś, co Rory mógłby określić jednym słowem: „lubieżność”. Lecz to wprost niemożliwe!

Czyżby jednak piła?

Rory zamierzał powiedzieć coś jeszcze, choć tak naprawdę zupełnie nie wiedział, co, lecz akurat pozostali słuchacze zaczęli wracać do sali.

Punktualnie, jak chciał profesor, wszyscy usiedli na swoich miejscach.

Westchnął ciężko. Przez kilka krótkich chwil jego cudownie ustabilizowane, przewidywalne życie uległo pewnemu... zwichnięciu, jakby Ziemia odchyliła się odrobinę od swojej osi. Gdy jednak wszyscy słuchacze zajęli swoje miejsca i z niecierpliwością czekali na dalszy ciąg wykładu,

wszystko wróciło w stare koleiny. Do chwili, gdy przypadkiem znów spojrzął na pannę Thornbury. Na Miriam, poprawił się w myślach. Siedziała nieporuszona, w wielkim skupieniu, z rękami złożonymi na pulpicie i z nogą założoną na nogę, z dwoma odpiętymi guzikami i słodkimi ustami. W chwili kiedy spojrzął na te usta - gotów był iść o zakład - Ziemia znów troszkę się zachwiała.

Westchnął przeraźliwie. Zanosiło się na pięć bardzo długich i intensywnych tygodni.

Trzeci etap uwodzenia - błyskotliwy dialog - niezbyt się udał, czyż nie? - pomyślała Miriam z cichutkim westchnieniem. Rory Monahan wycierał właśnie tablicę, a pozostali słuchacze pomału opuszczali salę. Przez cały wykład prawie mnie nie zauważał, myślała. Tylko podczas przerwy podstępem zdołała przykuć jego uwagę.

Mimo to wieczór nie był całkiem zmarnowany, ponieważ wykład profesora Monahana - czy raczej Rory'ego, poprawiła się w myślach - był, doprawdy, fascynujący. To człowiek naprawdę zdumiewający, a jego wiedza zdawała się być nieograniczona. Jeśli przedtem robił na niej wielkie wrażenie, teraz wręcz oczarował ją.

Choć, mówiąc szczerze, była nim oczarowana już od sześciu miesięcy, czyli od dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w bibliotece. Szkoda tylko, że Rory Monahan nie wykazywał żadnego zainteresowania jej osobą.

Np cóż, zdołała chociaż sprawić, że będzie zwracał się do niej po imieniu. To już coś. Ilekroć przypomniła sobie, jak słowo „Miriam” brzmiało w jego ustach, robiło się jej ciepło na sercu. Nigdy nie uważała swojego imienia za ładne, miała je wręcz za banalne i byle jakie. Zbyt konwencjonalne. Gdy jednak wypowiadał je Rory, nabierało cudownego uroku.

Tym smutniejsze było przekonanie, że na tym ich znajomość i stosunki zatrzymają się.

Wstała z krzesła, gdy właśnie Rory ruszył do wyjścia i w rezultacie jego lewe ramię splątało się z jej prawym ramieniem, a książki i notatnik, które trzymała, spadły na podłogę. Odruchowo schyliła się i wtedy spadła także torebka z jej drugiego ramienia. Jak zwykle bywa w takich przypadkach, cała jej zawartość rozsypała się po podłodze, w tym także numer „Metropolitan” sprzed pół roku, z krzyczącymi czerwonymi literami na okładce: „Jak uwieść mężczyznę?” i „Spraw, by zawsze do ciebie wracał”.

Rory, jak na dżentelmena przystało, padł na kolana tuż obok niej, by pomóc zbierać rozsypane przedmioty. I oczywiście, jak na naukowca przystało, natychmiast sięgnął po słowo drukowane, czyli po „Metropolitan”. No i, rzecz jasna, przeczytał nagłówki.

Gdy dotarło do niego, jakiego rodzaju wiedzę trzymał, ze wstrętem wetknął ją do torby Miriam, a potem podał jej książkę i notatnik. Ona w tym czasie pozbierała pióro, paczuszkę miętowych cukierków, flakonik perfum „Chanel Nr 5” i sławną, jaskrawoczerwoną szminkę.

No proszę, jak bardzo stała się dziewczęca. Aż do tego dnia miewała w torebce tylko portfel, okulary przeciwsłoneczne, paczkę chusteczek i, co chyba jest oczywiste, jakąś dobrą książkę. Tymczasem z lektury „Metropolitan” dowiedziała się, ilu jeszcze rzeczy potrzebowała na co dzień. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że błyskawicznie zaczęła stawać się „Dziewczyną Miesiąca”.

Wielkie nieba! - pomyślała, jak mogło do tego dojść? Owszem, dość uważnie przeczytała wszystkie artykuły, ale, doprawdy, nie miała zamiaru stać się... jedną z opisywanych w nich kobiet. Jedną z tych wyzywających,

wyuzdanych i seksownych uwodzicielek o sennym spojrzeniu, jakich wiele było na okładkach magazynu.

- Powoli wchodzi nam to w krew - powiedział Rory i wstał.

- Właśnie, chyba tak - odparła niezbyt mądrze. Nagle gdzieś zagubiła wszystkie błyskotliwe riposty.

Może dlatego, że Rory Monahan był tak blisko, wystarczyło tylko wyciągnąć ręce, by go dotknąć lub zarzucić mu ramiona na szyję. Albo wpleść palce w jego włosy, wspiąć się na palce, dotknąć ustami jego ust i...

- Muszę jeszcze dodać, że pani... to znaczy, twoje, Miriam, lektury cokolwiek mnie zdumiewają - powiedział z uśmiechem.

Lecz uśmiech ten wydał się jej dziwnie nerwowy, a nawet sztuczny. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że być może i on odczuł, jak blisko siebie stali.

- Nie bardzo rozumiem, profe... to znaczy, Rory, czemu tak cię to dziwi. Na ogół bibliotekarze lubią czytać. Bardzo dużo i bardzo różne rzeczy.

- Tak, tak, oczywiście! - zawołał pospiesznie. - Nie miałem na myśli... To znaczy, próbowałem tylko... Mam nadzieję, że nie posądziłaś mnie... - Westchnął rozpaczliwie. - Mniejsza z tym. Czy mogę odprowadzić cię do samochodu? - zapytał. A wyglądał przy tym, jakby sam był zaskoczony, że to powiedział, lecz starał się nie dać poznać tego po sobie. - Wszyscy już odeszli.

Tak też było w istocie.

- Dziękuję - powiedziała Miriam. - Bardzo to miłe z twojej strony. Musiałam zostawić samochód dość daleko.

Miasto Marigold w stanie Indiana nie było niebezpieczne. Miriam już po krótkim pobycie zorientowała się, że było to miejsce nad wyraz spokojne, jak z filmu Disneya. Lepiej jednak nie ryzykować, pomyślała.

Poza tym, co zrozumiała, bardzo chciała jak najdłużej przebywać w towarzystwie Rory'ego. Stał tak blisko... Wyglądał i pachniał tak uroczo...

Bezkresne niebo nad miastem było czarne i czyste, a bliski pełni księżyc oblał ich potokiem zimnego światła, gdy szli do jej auta. Miriam, by przerwać krępującą ciszę, próbowała nawiązać beztroską pogawędkę, ale nic nie przychodziło jej do głowy, gdyż wszystkie myśli zajęte miała tylko jednym - jak uroczo było iść tak z Rorym u boku. Choć nawet nie trzymali się za ręce. I jak cudownie mogłoby być, gdyby pochylił się i pocałował ją.

W końcu jednak - stanowczo zbyt szybko - stanęli przy jej aucie. Rory czekał uprzejmie, by otworzyła drzwiczki, usiadła za kierownicą i odjechała. Z jego życia. Przynajmniej do następnego dnia, kiedy znów spotkają w bibliotece. Wtedy właśnie Miriam zrozumiała, że jeśli chciała, by Rory Monahan stał się dla niej kimś więcej, niż tylko nauczycielem, powinna zrobić coś drastycznego, coś dużo bardziej spektakularnego niż zapisanie się na kurs o klasycznych cywilizacjach. Tylko co, u diabła?! - spytała samą siebie. Chyba powinna pominąć etap czwarty i ód razu przejść do piątego etapu uwodzenia: „Ty wykonaj pierwszy krok”.

Otworzyła samochód i wrzuciła na siedzenie torebkę oraz książki. Teraz miała już wolne ręce, a także żołądek ściśnięty ze zdenerwowania. Powoli odwróciła się. Jedną rękę wsparła na drzwiczkach, drugą zalotnym - miała nadzieję - gestem odgarnęła włosy z czoła.

I nim do reszty opuściła ją odwaga, spytała:

- Rory, czy zjesz ze mną jutro kolację?

To proste pytanie dało taki sam skutek jak potężny cios prosto w szczękę. Rory zastygł nieruchomo, a puste spojrzenie wbił przed siebie, jakby nie rozumiał języka, w którym do niego przemówiła. W końcu gwałtownie

potrzęsnał głową.

- Słu... słu... cham? - wydusił.
- Kolacja - powtórzyła. - Jutro. Ze mną.

Miała nadzieję, że krótkie, proste sformułowania łatwiej znajdą drogę do jego świadomości.

Znów trwał bez ruchu, ze wzrokiem wbitym w jej twarz, a raczej w usta, jak to spostrzegła. I milczał. Miriam wstrzymała oddech. W duchu przygotowała się na odmowę. Czekala tylko, jak on jej to powie.

Czekala, czekała i czekała...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wiele razy Rory rozpamiętywał każdą chwilę poprzedniego wieczoru i nieodmiennie zachodził w głowę, jak mogło dojść do tego, że zgodził się zjeść kolację z Miriam Thornbury. Doskonale pamiętał owe minuty, gdy ramię w ramię szli w milczeniu, a on czuł jej upajający zapach, i potem spojrział w dół, prosto w czyste szare oczy. Podziwiał, jak migotały uśmiechem, który również zagościł na jej wargach.

A potem, w następnej chwili, te wargi wypowiedziały słowa, które zahipnotyzowały go. Pamiętał też, że na zadane pytanie odpowiedział twierdząco, ale dlaczego tak postąpił, ni w ząb nie pamiętał. Wszak już od wielu dni wciąż powtarzał sobie, że od tej kobiety powinien trzymać się jak najdalej.

Pewnie już na zawsze pozostanie to jedną z nierozwiązanych tajemnic

w dziejach ludzkości.

Tak więc, choć skrępowany i zadziwiony, stał oto przed drzwiami panny... Miriam, z dłonią dziwnie spoconą i uniesioną do stukania. W drugiej, równie spoconej dłoni ścisnął celofanowe pudełeczko, a w nim różowy bukiet do noszenia na przegubie. Naprawdę, bukiet! I to różowy. Nie pamiętał, by kiedyś kupił coś takiego. Zatrzymał się po drodze w kwaciarni obok swojego domu i poprosił sprzedawczynię o coś stosownego na pierwszą randkę.

Dzięki temu mógł teraz z podziwem przyglądać się orchideom. Nie robił tego nigdy dotąd, lecz, jakimś niewyjaśnionym sposobem, gdy znalazł się wśród mnóstwa pięknych i oszałamiająco pachnących kwiatów, od razu wiedział, że tylko orchidee będą odpowiednie dla Miriam. Zaznaczyć jednak należy, że w głębi duszy nieco się lękał, by nie zrozumiała tego gestu opacznie. Po prostu starał się być uprzejmy. Gdyby odebrała to inaczej, mógłby znaleźć się w tarapatach.

Zastukał w drzwi i po chwili dobiegły go jakieś niewyraźne dźwięki. Odruchowo poprawił krawat i wygładził nieistniejące zmarszczki na swojej najlepszej, granatowej marynarce. Wierzył, że ubrał się Właściwie, choć zupełnie nie wiedział, co Miriam zaplanowała na ich spotkanie. Już to dowodziło, że zanosilo się na wieczór pełen osobliwości.

Po pierwsze pozwolił, by dziewczyna miała decydujący głos, a takie zachowanie Rory uważał za bardzo niemęskie. Dlatego z całą mocą postanowił, że to on ją zawiezie swoim samochodem.

Po drugie dopuścił do tego, że nie miał pojęcia, dokąd pojedzie. Dotąd nigdy nic takiego mu się nie zdarzyło.

Po trzecie wreszcie, czymkolwiek będą zajmować się tego wieczoru, na

pewno nie będzie to miało nic wspólnego z pracą naukową. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przytrafiło się mu coś podobnego.

Wyglądało na to, że będzie to wielce pouczający wieczór. Drzwi otwarły się i stanął oko w oko z Miriam. Cóż to był za widok! Jej włosy spływały luźnymi falami aż na ramiona. Na nagie ramiona, bo srebrna atlasowa sukienka nie miała ramiączek, a jednak, jakimś niepojętym sposobem, trzymała się nieco powyżej piersi. Rory'emu wcale to nie przeszkadzało. Zaś na szyi Miriam lśnił naszyjnik, z całą pewnością stanowiący komplet z równie migocącymi klipsami. Sukienka sięgała dość daleko za kolana, lecz i to nie stanowiło przeszkody, ponieważ miała z lewej strony długie rozcięcie.

Profesor delikatnie potrząsnął głową, zdumiony, jakimi to drogami chadzały tego wieczoru jego myśli. Zwykle miał nad nimi całkowitą kontrolę, nie było tam miejsca na takie sprawy jak damskie nogi, rozcięcia w sukience czy jedwabiste włosy i srebrne sukienki. Tylko czasami, i to niezbyt często, pojawiała się szata bogini.

W każdym razie, pomyślał Rory z ulgą, ubrałem się właściwie. Za nic jednak nie umiał wyobrazić sobie jakiegokolwiek miejsca w Marigold, gdzie takie stroje byłyby stosowne.

- Wyglądasz... uroczo - powiedział. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję - odparła nieśmiało. Nieśmiało? - zdumiał się. W takiej sukience?

- Proszę. - Podał jej celofanowe pudełeczko. - To... dla ciebie.

Zarumieniała się. Rumieniec? W takiej sukience?

- Dziękuję - szepnęła, i równie cicho spytała: - Pomożesz mi je założyć? Rory cały aż zadygotał, bowiem takiego obrotu wydarzeń nie przewidział. Gdy kupował bukietik orchidei, nie przypuszczał, że będzie

zmuszony dotknąć Miriam. Choć przecież, gdy głębiej się zastanowił, nie było to takie złe.

- Oczywiście - odparł.

Wziął od niej pudełeczko, otworzył i z wielką starannością wydobył delikatne kwiaty. Oddał Miriam puste opakowanie, uniósł jej rękę i bardzo powoli, jak zahipnotyzowany, wsunął gumkę na jej nadgarstek. Podniosła rękę do twarzy, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła słodki aromat. Rory poczuł go także i z zadowoleniem pomyślał, że do tej kobiety pasował wręcz wyśmienicie.

- To... dokąd pojedziemy na kolację? - spytał.

- Pomyślałam, że moglibyśmy udać się do Bloomington - odparła.

Podczas gdy on wciąż trzymał jej rękę, ona delikatnie muskała palcem płatki orchidei.

Ten gest całkowicie przykuł uwagę Rory'ego i sprawił, że serce zaczęło mu bić energiczniej. Patrzył i patrzył na hipnotyczne ruchy palca. Robiło się mu coraz bardziej gorąco.

Dlatego z dużym opóźnieniem dotarło do niego znaczenie jej słów. Zdumiony, wysoko uniósł brwi.

- Do Bloomington? - powtórzył. - Toż to co najmniej pół godziny stąd.

- Ponad trzy kwadransy.- poprawiła go Miriam - ale droga jest bardzo piękna, no i będziemy mogli porozmawiać.

Porozmawiać? Ona chciała rozmawiać? W takiej sukience?!

- Ja... ja... ja...

- W Bloomington jest cudowna restauracja „U Winony” - ciągnęła pogodnie. - Otwarto ją kilka miesięcy temu, ale już jest niezwykle popularna,

więc sam się domyślasz, z jakim trudem w tak krótkim czasie udało mi się zarezerwować stolik. Zwykle trzeba tam dzwonić kilka tygodni wcześniej.

- Ja... ja... ja...

- Tak się jednak szczęśliwie złożyło się, że właścicielką jest moja siostra, Winona. Czasami wyświadcza mi takie uprzejmości, ponieważ ma wobec mnie poczucie winy. Kiedy byliśmy małe, urwała głowę mojej ulubionej lalce Barbie.

- Ja... ja... ja...

- Nie zrobiła tego specjalnie - ciągnęła Miriam, jakby nie dostrzegając, w jakim stanie był Rory. - To był właściwie wypadek. Winona nie przypuszczała, że głowa lalki eksploduje, gdy przywiąże się jej do pleców rękę i przyczepi do sznura do bielizny.

- Ja... ja... ja...

- To nie była złośliwa psota, tylko eksperyment naukowy. Winona jest starsza ode mnie o dziesięć lat. Kiedy dziś o tym myślę, sądzę, że powinna była jednak wiedzieć, czym skończy się próba wystrzelenia lalki. - Miriam wzruszyła ramionami. - Mniejsza z tym. Możemy jechać?

- Ja... ja... ja... - wydukał Rory.

- Jedziemy twoim samochodem, tak? - spytała. - Zdaje się, że zależało ci na tym.

- Ja... ja... ja...

- Świetnie - rzuciła. - No to w drogę. Stolik mamy zarezerwowany na siódmą, a już jest po szóstej. Dobrze, że przyjechałeś punktualnie. To bardzo miła cecha.

- Ja... ja... ja...

W tym momencie Rory uświadomił sobie, że byłoby lepiej, gdyby w

ogóle nie próbował się odzywać, wyglądało bowiem na to, że Miriam Thornbury kwestię pogawędki podczas podróży doskonale załatwi sama. Aczkolwiek było w jej gadatliwości coś, co kazało mu z niepokojem patrzeć w przyszłość.

- Jedziemy - powiedział. - Moim autem. Tak. Już. Świetna robota, Rory, pogratulował sobie w myślach. Na

kobietach zawsze robi wrażenie, gdy mężczyzna wysławia się jak jakaś znana postać literacka. Niestety w jego przypadku pierwowzorem mógł być tylko potwór Frankenstein.

- Jeśli jesteś gotowa, to ja też - dodał.

Jednak, prawdę mówiąc, podejrzewał, że tam, gdzie w grę wchodziła Miriam Thornbury, nigdy nie będzie gotowy.

W restauracji „U Winony” było bardzo tłoczno i Rory zrozumiał, dlaczego Miriam musiała odwołać się do sięgającego dzieciństwa poczucia winy siostry, by zdobyć dla nich stół. Poza tym był to lokal bardzo miły, urządzone w stylu luksusowego hotelu z końca XIX wieku. Bardzo elegancki, bardzo bogaty i szykowny.

Rory'emu natychmiast przypomniał się pewien film, który przed laty był niezwykle popularny. Jak on się nazywał? Obejrzał go kilkanaście razy, bo taka była wola Rosalindy, jego narzeczonej. W głównej roli występował ten, jak mu tam... No, przystojny blondyn... Jak on się nazywał? „Titanic”! Tak jest. Film, oczywiście.

Jednak chociaż wewnątrz restauracji kojarzyło się z zatopionym transatlantykiem, to nie przepych i powaga stanowiły główny punkt wystroju wnętrza, jako że natychmiast rzucały się w oczy telefony. Na środku każdego stolika stał malowniczy, bardzo staroświecki aparat.

Miriam musiała dostrzec jego zaciekawienie, bo gdy tylko usiedli przy wskazanym im przez hostesę stoliku, powiedziała:

- Telefony są tutaj bardzo popularną atrakcją. To właśnie one, oprócz jedzenia, zresztą wyśmienitego, sprawiają, że ludzie tak chętnie tu przychodzą.

- No dobrze, ale czemu stoją na środkach stolików? - spytał Rory.

Miriam uśmiechnęła się.

- Żeby ludzie mogli do siebie dzwonić. To był pomysł Winony. Ta drobna sztuczka ściąga tutaj wielu klientów.

- Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Poza tym fantastycznie spisują się przy kojarzeniu par.

- Przy kojarzeniu par? - spytał Rory ze zgrozą. Miriam pokiwała głową.

- Winona opowiadała mi, że w zeszłym miesiącu urządziła tutaj przyjęcie weselne. Młodzi poznali się właśnie dzięki tym telefonom. Nad nami jest nasz numer.

Rory uniósł głowę i zobaczył nad sobą ozdobne cyfry. Szesnastka, pomyślał, a kiedy rozejrzał się po sali, zauważył podobne cyfry nad każdym stolikiem.

- Chcesz powiedzieć - zwrócił się do Miriam - że mogę podnieść słuchawkę, wybrać numer i telefon zadzwoni przy stoliku pod tym właśnie numerem?

Znów pokiwała głową. Nagle, jak na zamówienie, aparat na ich stoliku delikatnie zadzwieczał. Popatrzyli po sobie, zaskoczeni. Miriam podniosła słuchawkę. - Słucham? - powiedziała ostrożnie, a potem zachichotała. - To Winona - wyjaśniła Rory'emu. - Jest tam, przy recepcji.

Odwrócił się w stronę drzwi i zobaczył mówiącą do telefonu niezwykle piękną kobietę. Miała jasne włosy i jasne oczy, choć tego ostatniego raczej tylko się domyślał. Była bardzo podobna do Miriam, co do tego nie było wątpliwości, tylko sporo starsza.

- Tak, stolik jest doskonały - powiedziała Miriam do słuchawki. - Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. Naprawdę, bardzo ładnie z twojej strony... Nie, słowo, już się nie gniewam. Naprawdę. Tak, wiem, to była moja ulubiona lalka, ale przecież wszystko kiedyś się kończy. Nie, proszę, przestań już się zadreć. Tak. Ja także. Och, Winono...

Kobieta w recepcji wyglądała na głęboko poruszoną. Rory nie mógł zrozumieć, dlaczego po prostu nie odłożyła słuchawki i nie podeszła do nich. Widać wciąż czuła się winna. Niektórym takie dramatyczne zdarzenia z dzieciństwa głęboko zapadają w pamięć.

W tym momencie Rory'emu stanęły przed oczami tragiczne chwile sir Stuarta, Srebrnego Rycerza Okrągłego Stołu. Rory przeczytał o nich, gdy miał siedem lat.

Kilka minut później jedna z kelnerek podeszła do recepcji i Winona rozłączyła się.

- Twoja siostra musi być do ciebie bardzo przywiązana - zauważył Roty.

Miriam z powagą skinęła głową.

- Zaczynam dochodzić do przekonania, że Winona bardziej przeżyła tamten wypadek lalki Barbie niż ja. - Nagle rozjaśniła się. - Ale dzięki temu mamy bardzo dobry stolik, prawda?

Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ błędząc wzrokiem po sali, przy jednym z dalszych stolików spostrzegł nagle... swojego brata, Connora. Nie

zastanawiając się, sięgnął po telefon i wybrał numer 27.

- Do kogo dzwonisz? - spytała Miriam.
- Właśnie zobaczyłem kogoś, kto... Cześć, Connor.
- Kto mówi? - usłyszał burknięcie.
- Rory, twój starszy brat. I bądź łaskaw nie mówić do mnie takim

tonem, młodzieńcze. Co ty robisz w Bloomington? Mama wie, że tu jesteś? Sam?

Connor nerwowo rozglądał się po sali, aż w końcu dostrzegł Rory'ego.

- Mogę mówić do ciebie, jak chcę, Rory - powiedział gwałtownie. - I mogę bywać gdzie tylko zechcę i kiedy zechcę. Sam, albo w towarzystwie. Mam dwadzieścia osiem lat! Zapomniałeś? Nie jesteś moją niańką.

- Pytałem, co robisz tutaj? - powtórzył Rory z naciskiem. Postanowił przy najbliższej okazji dobrze natrzeć uszu bratu. Jak on śmie mówić do mnie takim tonem? - pomyślał.

- Pracuję - powiedział Connor przez ściśnięte zęby. - A teraz rozłącz się i nie dzwoń do mnie więcej.

- Pracujesz? - zdziwił się Rory. - Przecież jesteś policjantem, i to całkiem od niedawna. Skąd więc tutaj...

- Ciii - uciszył go brat. - Mógłbyś się zamknąć? Ani słowa więcej na mój temat, nikomu, rozumiesz? A teraz odłóż tę cholerną słuchawkę.

Connor bez zwłoki dał przykład i energicznie przerwał połączenie. Przez chwilę Rory w milczeniu wpatrywał się w aparat. Nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia.

- Twój brat jest tutaj? - spytała Miriam. Zaciekawiona, rozglądała się dookoła. - Gdzie? Bardzo chciałabym go poznać, a ty powinieneś poznać Winonę, zanim stąd odjedziemy.

Rory pomału pokręcił głową.

- Ja... Wydawało się mi, że to był mój brat - powiedział. - Pomyliłem się.

Miriam wzruszyła rozkosznie nagimi ramionami, aż Rory'emu przeszły ciarki po plecach.

- Podobno każdy ma gdzieś na świecie swojego sobowtóra - zauważyła. - To musi być żywa kopia twojego brata.

- Prawdę mówiąc, Connor już ma sobowtóra - powiedział Rory. - Brata- bliźniaka, Cullena. Lecz to nie był również Cullen.

Bo to był Connor, pomyślał, lecz spełniając jego życzenie, czy raczej rozkaz, zatrzymał tę informację w tajemnicy. Praca detektywa, nawet jeśli Connor wykonywał ją od niedawna, często zmuszała do takiej skrytości. Jednak Rory był ogromnie zaintrygowany. Co mógł robić Connor, detektyw-policjant z Marigold w stanie Indiana, w Bloomington?

Po powrocie do domu Rory będzie musiał poważnie porozmawiać z bratem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miriam wciąż nie mogła uwierzyć, że oto siedziała w luksusowej restauracji, z dala od domu, z Rorem Monahanem. Nie mogła też uwierzyć, że sama zaproponowała to spotkanie. A za całkiem niewiarygodne uznała, że na tę kupiła okazję taką właśnie sukienkę, co oczywiście zrobiła zgodnie z radami „Metropolitan”.

Lecz musiała co do joty wypełnić wszystkie zalecenia, ponieważ solennie sobie postanowiła, że tego wieczoru, w ten czy w inny sposób, wzbudzi w Rorym zainteresowanie sobą - i utrzyma je.

Nie mogła wprost uwierzyć, że mimo wszystko zdołała zachować resztki zdrowego rozsądku, co objawiało się między innymi tym, że, wciąż mówiąc, co pewien czas jednak milkła. Dzięki temu mogła łyknąć powietrza i nie zemdleć. Byłoby przecież fatalnie, gdyby tak padła bez czucia w ramiona Rory'ego, śliniąc się przy tym... Fuj!

Na szczęście obyło się bez takich dramatów. Siedziała w miarę spokojnie i patrzyła z zachwytem, jak wspaniale w granatowej marynarce wyglądał Rory.

Westchnęła. Nawet na Winonie zrobił duże wrażenie, pomyślała. Zobaczyła to w jej oczach, kiedy minęli się w wejściu do restauracji. Teraz Miriam została tylko nadzieja, że reszta wieczoru potoczy się równie pomyślnie. Kelnerka pojawiła się, odeszła i znów wróciła z butelką białego wina, które wybrał Rory. Uważał, że powinno doskonale pasować do kurczęcia z orzechami, które zamówiła Miriam. Ona, choć nie przyznała się do tego, wypiłaby najgorszego cienkusa do gumowego kurczaka, byle tylko Rory towarzyszył jej przy posiłku.

Ale wino okazało doskonałe. Jak widać, wiedza Rory'ego wykraczała czasem poza tematykę historyczną, co Miriam skostatowała z niespodziewaną ulgą.

Nagle zrobiło się jej gorąco, pomyślała bowiem, że być może jeszcze tego wieczora dane jej będzie przekonać się, jak naprawdę daleko sięgała wiedza profesora Monahana. Przestraszyła ją ta myśl. Czyżby moja Wewnętrzna Uwodzicielką budziła się ze snu? - pomyślała. Oj, byłoby to

niedobrze. Miriam była prawie pewna, że tego wieczora poradzi sobie z Rorym bez jej pomocy.

Poradzę sobie! - pomyślała, drżąc z niecierpliwości.

Sio! Idź spać! - próbowała odpędzić Wewnętrzną Uwodzicielkę.

Nie było to wiele, ale nic więcej nie mogła zrobić. Na szczęście udało się jej powstrzymać tę małą lisicę przez cały czas posiłku. Inna rzecz, że rozmowa z Rorym ani razu nie zeszła na niebezpieczne tereny.

Choć może troszkę szkoda, ponieważ kilka razy Miriam wydało się, że ich spojrzenia zetknęły się w sposób szczególny, a nawet ryzykowny...

Dziewczęce marzenia, prawda?

Ale przecież dziewczęta nie muszą tylko marzyć, pomyślała Miriam jakiś czas później, bo mogą te marzenia również realizować. Albowiem, gdy po serdecznym pożegnaniu z Winoną wyszli z restauracji, spędzili dobrą godzinę spacerując po okolicy. Była to stara, urocza część Bloomington, pełna sklepików z antykami i różnymi cudёнkami, oraz domów z czerwonej cegły otoczonych kutymi w żelazie płotami i brukowanymi chodnikami.

Przechadzali się tak ramię w ramię pod szarzejącym niebem, a ich dłonie od czasu do czasu przypadkowo się spotykały. Miriam pomyślała, że właśnie realizowało się jedno z jej marzeń dotyczących Rory'ego Monahana. Co prawda, nie zabrała go do siebie do domu, by go nakarmić, jak to sobie często wyobrażała, ale i tak zabrała go i nakarmiła, choć gwałtownie uparł się i zapłacił za posiłek. A teraz przechadzali się, prawie trzymając się za ręce. Z satysfakcją stwierdziła, że jest lepiej, niż to zaplanowała.

I wtedy przyszło jej do głowy, że być może wkrótce spełnią się inne jej marzenia.

- Ślicznie tu - odezwał się Rory. - Byłem w Bloomington wiele razy,

ale nigdy nie miałem okazji poznać miasta. Oprócz biblioteki uniwersyteckiej, oczywiście.

Oczywiście Miriam pokiwała głową.

- Ta część Bloomington przypomina trochę Marigold

- powiedziała. - Obie z Winoną dorastałyśmy w Indianapolis, lecz postanowiłyśmy studiować tutaj i zakochałyśmy się w tym miejscu. Po studiach... jakieś piętnaście lat temu, Winona osiadła tu na stałe i kiedy przyjechałam do college'u, mieszkałam u niej. Ona pokochała to miasto, podobnie jak ja Marigold.

- Ale nie mieszkasz w Marigold zbyt długo, prawda?

- spytał Rory. - Od pół roku. Przedtem pracowałam w Indianapolis.

- Mieszkasz w Marigold już tak długo? - Wyglądał na zaskoczonego. -

Zabawne, a mnie zdaje się, jakbyś pojawiła się wczoraj.

- Zauważyłeś, kiedy przyjechałam do naszego miasta? - spytała z uśmiechem.

Policzki lekko mu się zaróżowiły, wzrok wbił gdzieś daleko przed siebie.

- Tak... Ja... Oczywiście, nie mogę podać dokładnej daty... ale, prawdę mówiąc... Tak - wyznał w końcu. - Zauważyłem. - Nie patrzył na nią, jakby jej dociekliwość krępowała go. - Tego dnia spadł pierwszy śnieg. Ujrzałem cię w bibliotece. Nie zdążyłaś jeszcze zdjąć płaszcza, kiedy przyszedłem do recepcji w poszukiwaniu pana Ambersona.

Nagle się zatrzymał i obrócił twarzą ku niej. Miriam także stanęła. Znieruchomiali^ patrzyli na siebie. Wreszcie Rory powoli uniośł rękę, jakby chciał dotknąć jej włosów, jednak po sekundzie gwałtownie ją cofnął. Lecz ani na moment nie oderwał oczu od Miriam.

Po chwili odezwał się bardzo cicho:

- Śnieg topił się na twoich włosach. Wyglądało to tak, jakby ktoś posypał ci głowę czarodziejskimi kryształkami. Pomyślałem wtedy, że twoje oczy mają najniezwyklejszy odcień szarości, jaki widziałem. Były pełne inteligencji, łagodności i dobroci. Nie mogłem cię nie zauważyć.

To niespodziewane wyznanie zrobiło na Miriam wielkie wrażenie i dopiero po chwili zorientowała się, że wciąż stoi, wstrzymując oddech. Bardzo powoli nabrała powietrza do płuc, ale zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Zdecydowała więc wyznać prawdę.

- Ja... także cię zauważyłam. Wtedy, pierwszego dnia w bibliotece.

Rory, jak zahipnotyzowany, wpatrywał się w jej oczy, a potem powoli przeniósł wzrok na usta. Rozchylił wargi, zapewne, by coś powiedzieć, lecz nie odezwał się. Zamiast tego, po króciutkiej chwili wahania, schylił się pocałował ją, ostrożnie i delikatnie, jak muśnięcie skrzydeł motyla. I zaraz potem wyprostował się.

Wtedy Miriam zorientowała się, że ma mocno zaciśnięte powieki, jej serce waliło jak szalone, a cały świat zatacza się i wiruje. Uniosła powieki. Rory wpatrywał się w nią z delikatnym uśmiechem... cały czerwony.

Ani słowem nie wyjaśnił swego postępu. Odwrócił się i wolnym krokiem ruszył przed siebie. Miriam nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nim, i choć 'w głowie miała mętlik, stąpała pewnie. Milczała, bo czuła, że choćby jedno słowo może zniszczyć czar tej chwili. Rory musiał podobnie to odbierać, gdyż i on zachowywał ciszę.

Miriam, urodzona optymistka, postanowiła wziąć to za dobrą monetę. Niech nic nie mówi, tylko przeżywa.

W końcu odzyskali głos i zaczęli swobodnie gawędzić, aż zatoczyli

koło i znów znaleźli się na parkingu przed restauracją. Zbliżająca się podróż powrotna do Marigold cieszyła Miriam i przerażała zarazem. Bo choć miała jeszcze przed sobą prawie godzinę z Rorym, wielką niewiadomą było to, co stanie się po dojechaniu na miejsce. Wprawdzie był to dzień niezwykle wydarzeń i niespodzianek, jednak Miriam bała się, że gdy dotrą do domu, czar pryśnie.

Ale jeszcze bardziej lękała się, że następnego dnia Rory zapomni wszystko, co powiedział i zrobił tego wieczoru, jak również wyrzuci z pamięci wszystkie jej uczynki i słowa. Lecz najbardziej przerażała ją myśl, że następnego ranka zbudzi się we własnym łóżku, by przekonać się, że wszystko to tylko jej się śniło.

Czasami jednak sny spełniają się, pomyślała. Wszak tak niedawno urzeczywistnił się jeden z najpiękniejszych. Rory Monahan pocałował ją. Z własnej woli. I choć w marzeniach widziała to nieco inaczej, było bardzo przyjemnie. I obiecująco.

A poza tym wieczór jeszcze nie skończył się, pomyślała. Przed nimi jeszcze długa droga do domu.

Jechali pustą autostradą. Byli prawie dokładnie w połowie drogi, gdy niespodziewanie rozległ się głośny huk, a samochód niebezpiecznie zatańczył na jezdni. Omal nie wpadli na pobocze. Rory mocno nacisnął hamulec i z piśkiem opon zatrzymało auto.

- Cholera! - burknął pod nosem. - Nie do wiary! Znów złapałem gumę!

- Często ci się to zdarza? - spytała Miriam. Jej serce wciąż jeszcze waliło z przerażenia.

- Niezbyt, ale poprzednio przytrafiło mi się całkiem niedawno. Jakieś...

Niech pomyślę... Patrz, zapomniałem, ale na pewno nie było to dawno.

Chociaż na tyle dawno, że mogłem kupić nową oponę.

- Dzięki Bogu! - rzuciła z ulgą. Spojrzał na nią przeciągle i nawet w słabej poświacie nocy Miriam dostrzegła w jego oczach zakłopotanie. O nie!

- Ja... Hm... No tak, było to na tyle dawno, że mogłem kupić nową oponę - powtórzył. - Ale... nie zrobiłem tego.

- O nie! - powiedziała, tym razem głośno.

- Wskutek czego w bagażniku leży stara opona.

- O nie! - powtórzyła.

- Z olbrzymią dziurą.

- O! O nie!

- No cóż, zapomniałem kupić nową

- O nie! - Miriam skarciła siebie w duchu za tak monotonne wypowiedzi. - W takim razie - powiedziała - musimy zadzwonić do „Trzech A”* . - I dodała z naciskiem: - Bo chyba jesteś członkiem „Trzech A”, prawda?

Rory zawahał się, a po chwili wolno pokręcił głową.

- Od dawna chciałem się zapisać, ale... stale o tym zapomniałem.

- Nie martw się - powiedziała uspokajająco - należę do Związku, odkąd mam prawo jazdy. Oni są zdumiewająco skuteczni i zaraz przyjadą. Czy mogłabym skorzystać z twojego telefonu komórkowego?

** AAA - American Automobile Association (ang.) - Amerykański Związek Automobilowy. (Przyp. tłum.).*

Rory był już naprawdę przestraszony.

- Tak, oczywiście, że mogłabyś skorzystać z mojego telefonu komórkowego - odparł. - Gdybym go miał.

Wbiła w niego zdumione spojrzenie.

- Nie masz telefonu?

Znowu pokręcił głową.

- Od dawna zamierzałem go kupić, bo wydają się bardzo wygodne, ale tak jakoś... - Wzruszył ramionami. - Nie miałem czasu, żeby się tym zająć.

Tym razem to Miriam poczuła niepokój. Nigdy nie rozstawała się z komórką, jednak tego wieczoru, zgodnie ze wskazówkami „Metropolitan”, miała ze sobą małą torebkę, w której z trudem zmieściła tylko to, co absolutnie niezbędne: dowód osobisty, szminkę, chusteczkę do nosa, pieniądze, kartę członkowską „AAA”, miętowe cukiereczki i... prezerwatywę. Zarumieniła się. Lecz w „Metropolitan” napisali, że to konieczne, czyż nie? I na telefon zabrakło już miejsca.

- Tak, tak - powiedziała, siląc się na optymizm. - Zostaje nam tylko robić dobrą minę do złej gry, prawda? Wcześniej czy później pojawi się jakiś dobry samarytanin, trzeba tylko włączyć światła awaryjne. Chyba gorzej już nie będzie. - Zmusiła się do uśmiechu.

- A mogłoby? - spytał Rory ponuro. Kiwnęła głową.

- Oczywiście. Na przykład nie pada...

I w tym momencie, jak za pomocą czarów, przetoczył się nad nimi grzmot.

- O nie! - jęknęła Miriam.

- No tak! - mruknął Rory w tym samym momencie. Niebo otwarło się i potoki wody runęły na ziemię.

Deszcz głośno tłukł w dach samochodu, przez szyby nic nie było widać.

Długo siedzieli w milczeniu, jakby nie mogli uwierzyć, że nie jest to tylko zły sen.- Zawsze może być jeszcze gorzej - odezwał się w końcu Rory.
- Mógłby, na przykład, spaść grad.

- Przestań, Rory, bo jeszcze wykra...

Nie skończyła, bo wśród łoskotu deszczu coraz wyraźniej słychać było ostre stuk! stuk! stuk! o dach auta. Uderzenia stawały się coraz głośniejsze, a przednia szyba zabieliła się lodowymi kulkami.

Miriam westchnęła rozpaczą.

- Gdy pada grad, robi się zimno. - Zaszczekała zębami. Szybko sięgnęła do włącznika ogrzewania, a potem objęła się ramionami.

- Proszę. - Rory zdjął marynarkę i podał jej. - Wygląda na to, że przyjdzie nam tu spędzić trochę czasu.

- Cóż za maniery. - Uśmiechnęła się. Zarumienił się, czego w ciemnościach Miriam dostrzec nie mogła, ale wyczuła jego zażenowanie. Przez to, że Rory tak uroczo się speszył, stał się jej jeszcze miłszym. Myślałby kto, że zakochałam się w nim, pomyślała. Przecież czuła do niego jedynie... wielką sympatię. No dobrze, pociągał ją, i to nawet bardzo. Ale miłość!? Nie, na pewno nie.

- Niedługo pogoda się poprawi - powiedział Rory. - Letnie burze z reguły trwają krótko.

Miriam wiedziała, że statystycznie rzecz biorąc Rory miał rację, gdy jednak rozejrzała się wokół, zwątpiła. Była przekonana, że będzie tak lało jeszcze przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

Do licha! - pomyślała, będziemy tak tkwić w ciemnościach, na opustoszałej autostradzie, przez całą noc. Przez całą noc? Miriam tajemniczo uśmiechnęła się do siebie. No, no, może ta randka wcale nie skończy się aż

tak źle? W najgorszym razie będą mieli dużo czasu, by porozmawiać i poznać się lepiej, a jeśli dopisze jej szczęście, będą mogli poznać się... jeszcze lepiej.

Rety! - pomyślała. Znowu budzi się moja Wewnętrzna Uwodzicielką. Zresztą, robi to w najlepszym momencie.

Miriam szczerzej zawinęła się w marynarkę i uśmiechnęła się. Mieć na sobie marynarkę profesora Monahana to prawie tak samo, jak być przez niego dotknięta, pomyślała. Wtedy Rory sięgnął po coś i przypadkiem delikatnie musnął jej piersi.

Zadrżała, zrobiło się jej gorąco. Uświadomiła sobie, że jednak nic nie może równać się z dotykiem Rory'ego.

- Przepraszam - mruknął i szybko cofnął rękę. - Chciałem zajrzeć do schowka. Powinna być tam latarka.

- Nic nie szkodzi - odparła Miriam lekko drżącym głosem. - Nic się nie stało.

Zwłaszcza pierwsze zdanie niosło szczerą prawdę, bowiem dotknięcia Rory'ego nie czyniły jej żadnej szkody.

- Mogłabyś jej poszukać? - spytał. - Będzie ci łatwiej.

Pochyliła się i po omacku odnalazła przycisk do schowka. Kiedy otwarła go, zdumiała się panującym wewnątrz porządkiem. Bez trudu odnalazła latarkę. Wyjęła ją, przesunęła włącznik, i nic. Potrząsnęła nią, w nadziei, że jednak rozbłyśnie. Na próżno.

- Chyba wyczerpały się baterie - powiedziała. Usłyszała ciche sapnięcie Rory'ego.

- Psiakrew! - mruknął. - Teraz sobie przypomniałem, że stało się to, kiedy ostatnio zmieniałem koło. Miałem zamiar wymienić je na nowe, ale... - Bezradnie rozłożył ręce. - Zapomniałem.

- Och, Rory! - powiedziała Miriam i odłożyła latarkę do schowka. Chociaż ich sytuacja nie była zbyt zabawna, nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Potrzebny ci jest ktoś, kto będzie się tobą opiekował.

Zesztywniał.

- Nie mogę się z tym zgodzić - powiedział szorstko. - Odkąd zacząłem dorosłe życie, sam dbam o siebie.

- Czyżby? - spytała, wciąż uśmiechając się.

- Oczywiście!

- Przepraszam, będę o tym pamiętała.

Wzrok Miriam przyzwyczaiał się już do ciemności, dzięki czemu widziała Rory'ego nieco lepiej. Nie mogła uwierzyć, by profesor Monahan potrafił zadbać o siebie. Po prostu nie było takiej możliwości.

- No dobrze - odezwała się po krótkiej chwili. - Jak sam powiedziałeś, przyjdzie nam spędzić tutaj jakiś czas. Więc co będziemy robić? Co mogłoby robić dwoje dorosłych i zaprzyjaźnionych ludzi, rzuconych w ciemną burzliwą noc na środek pustej autostrady, bez nadziei na ratunek przez wiele, wiele godzin? - Pochyliła się ku niemu i słodkim głosem dodała: - Hmm, Rory? Czy masz jakąś propozycję?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Miriam ani przez moment nie chciała, by jej pytanie zabrzmiało dwuznacznie, jednak, gdy już je zadała, uświadomiła sobie, że zabrzmiało właśnie tak. Nie dość, że dwuznacznie, ale w dodatku... bardzo erotycznie. Jak to mogło się stać?

Najpewniej dlatego, że głos, który je wypowiedział, nie był jej głosem, tylko należał do Wewnętrznej Uwodzicielki. Bez żadnych wątpliwości.

Rory także musiał to dostrzec, gdyż odwrócił się do Miriam i z niebywałym zdumieniem w głosie powiedział:

- Ja... ja... ja... Co powiedziałaś?

Chciała jakoś ratować sytuację, przeprosić, obrócić wszystko w żart, natychmiast jednak przekonała się, że raz obudzona Wewnętrzna Uwodzicielką nie da się tak łatwo odegnać. Dlatego Miriam jeszcze bardziej pogorszyła sprawę.

Bowiem zamiast błyskotliwie i żartobliwie wszystko wyjaśnić, z szalenię seksowną chrypką wypowiedziała następujące, i jakże uwodzicielskie, słowa:

- Oj, daj spokój, Rory! Taki wykształcony facet jak ty potrafi chyba wymyślić, w jaki sposób dwoje dorosłych ludzi mogłoby... interesująco... spędzić czas. O niebios! Czy to naprawdę ona powiedziała? Miriam wprost oniemiała ze zdumienia. Mogłaby, rzecz jasna, uznać, że to wszystko sprawka Wewnętrznej Uwodzicielki, lecz już dość dawno zrozumiała, że, niestety, nie może wyrzec się odpowiedzialności za tę małą tygrysicę.

Czy więc, skoro i tak jestem za wszystko odpowiedzialna, nie

powinnam przejąć inicjatywy? - pomyślała. To mogłoby być bardzo zabawne.

Ostatecznie tak niedawno Rory Monahan z własnej woli ją pocałował. Owszem, nie była to pieszczota namiętna i porywająca, lecz jeszcze nie wszystko było stracone, tylko należało dać Wewnętrznej Uwodzicielce wolną rękę.

Jak postanowiła, tak zrobiła, to znaczy uniosła rękę i pogłaskała Rory'ego po twarzy; a potem wplotła palce w jego włosy.

Ależ wamp z tej Wewnętrznej Uwodzicielki!

Po chwili usłyszała swój głos, cichy, słodki i pełen pokus.

- Czy wiesz, jak niezwykle jesteś przystojny? Słowo, Rory. Winona nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby dowiedziała się, że ci to mówię, ale tam, w restauracji, przez cały czas myślałam tylko o tobie.

Gapił się na nią olbrzymimi oczyma, lecz jej to nie przeszkadzało, a nawet było jej z tym przyjemnie. Wreszcie, wyraźnie zdenerwowany, powiedział:

- Panno... Chciałem powiedzieć, Miriam. Ja... ja... ja... myślę, że chyba... być może... prawdopodobnie wypiałś odrobinę zbyt wiele wina do kolacji.

- Tylko dwa kieliszki - zauważyła i ponownie przesunęła palcami po jego włosach. Zauważyła przy tym, że Rory, mimo nieśmiałych słów protestu, nie zrobił nic, by jej przeszkodzić.

- Owszem, ale to były bardzo wielkie kieliszki.

- Winona jest niezwykle troskliwą gospodynią - powiedziała Miriam, zwinęła na palcu kosmyk jego włosów i przesunęła się ku niemu tak blisko, jak tylko było to możliwe. A on nie uczynił nic, by jej przeszkodzić.

- Jeśli nadal będzie tak gościnna - powiedział - prędko doprowadzi się do ruiny, nie mówiąc już o tym, że może narazić na szwank dobre imię swoich gości.

- Czy ja to właśnie teraz robię? - spytała niewinnym głosem i przysunęła się jeszcze bliżej. Uniosła drugą rękę i także zanurzyła ją w jego włosy. - Czy narażam na szwank moje dobre imię?

Rory, choć wyraźnie stremowany, nie poruszył się.

- Och nie, nic takiego nie miałem na myśli. To tylko wpływ wina. Jestem tego pewien.

Przez moment trwali w milczeniu, aż wreszcie Miriam cicho szepnęła:

- Chciałabym, żebyś to ty naraził na szwank moje dobre imię.

Żeby podkreślić wagę słów, ostrożnie zdjęła mu okulary i odłożyła na deskę rozdzielczą, a potem pochyliła się i delikatnie musnęła nosem jego nos.

Serce Miriam zaczęło bić szybciej, natychmiast zrobiło się jej bardzo gorąco. Zapach jego wody po goleniu... jego zapach w ogóle, upajał ją. Burza, która szalała na zewnątrz samochodu, była niczym w porównaniu z tym, co działo się w jej duszy. Miriam zdumiała się gwałtownością uczuć, które ją opadły. Zapragnęła Rory'ego gwałtownie i gorąco, jak jeszcze nigdy niczego... i nikogo.

- Panno Thornbury... - Rory próbował jeszcze słabo protestować. - Ja... ja... ja...

- Miriam - poprawiła go. - Miałeś mówić mi po imieniu.

- Miriam - powtórzył posłusznie. - Ja... ja... ja...

- Podoba mi się sposób, w jaki wymawiasz moje imię - przerwała mu.

- A raczej - dodała wciąż tym samym głuchym głosem - podobasz się mi ty, Rory.

Im bardziej ona przysuwała się do niego, tym bardziej on starał się dociec, co się z nią stało. A także z nim, gdyż nie zrobił absolutnie nic, by ją powstrzymać. Był tak bardzo zagubiony, że nawet nie wiedział, od czego zacząć.

Wbrew temu, co powiedział przed chwilą, wcale nie uważał, że postępowanie Miriam było skutkiem spożycia zbyt dużej ilości wina. Rzeczywiście, wypili tylko po dwa kieliszki, a do deseru podano jedynie kawę. Potem zaś odbyli długi spacer.

Owszem, zgoda, może wtedy, gdy ją pocałował, mógł spowodować w niej jakiś szok, chwilowe oszołomienie, ale gdy wsiadali do samochodu, sprawiała wrażenie osoby zrównoważonej i całkiem normalnej.

A niedługo potem, niespodziewanie...

Rory nie potrafił dokładnie ustalić momentu, gdy sprawy zaczęły przybierać zgoła nieoczekiwany kierunek. W jednej chwili siedzieli, czekając na koniec burzy, a w następnej...

No tak. Wtedy rozpętała się zupełnie inna burza.

Ponieważ, całkiem nieoczekiwanie, Miriam znalazła się bardzo blisko niego. Tak blisko, że bez reszty pogrążył się w zapachu lawendy i wyraźnie poczuł żar i pragnienia tej dziwnej kobiety. Potem zaczęła wplatać mu palce we włosy i musnęła nosem jego nos. Wszystko to, wzięte razem, po prostu go obezwładniło i poczuł się tak dobrze, że nie był w stanie przemóc się i zażądać, by Miriam przestała, choć wiedział, że byłoby to najlepsze wyjście z tej jakże niespodziewanej sytuacji. Lecz mogłoby się zdarzyć, że gdyby tego zażądał, przestałaby. A on wcale nie chciał, by przestała, ponieważ...
ponieważ...

O czym to ja...?

A tak. Bliskość. Miriam, jej zapach, jej żar. I dotyk.

Wszystko znów wróciło do niego.

Tym razem jednak nie wprawiło go to już w takie zakłopotanie, dużo bardziej czuł się zmieszany własną reakcją. Zamiast bowiem delikatnie odsunąć Miriam, jak na statecznego dżentelmena przystało, Rory poczuł gwałtowną chęć pochylenia się ku niej i wplecenia palców w jej włosy, a potem zaciśnięcia na nich dłoni i przyciągnięcia słodkiej dziewczyny do siebie, by objąć ustami jej wargi i pocałować. Mocno i namiętnie.

I nagle... Rory uświadomił sobie, że właśnie robił to wszystko. W dłoni ścisnął jedwabiste włosy, a wargami obejmował usta, których słodycz nie dawała się porównać z niczym, co poznał wcześniej.

Zapomnij o winie, przemknęło mu przez myśl. Miriam Thornbury jest o wiele bardziej upajająca.

Ochota, z jaką odwzajemnił pocałunek, ośmieliła ją. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego. Poczł na sobie cudowny ciężar jej piersi, poczuł jej palce, mocno zaciskające się na jego ramieniu. I wtedy Rory zrozumiał, że pragnął jeszcze bardziej zbliżyć się do Miriam, choć i tak byli już bardzo blisko siebie.

Tak więc, nie bacząc na ciasnotę, chwycił ją w ramiona, pociągnął i posadził sobie na kolanach. Macając niezgrabnie za sobą, odszukał dźwignię i opuścił oparcie fotela. Czubkiem języka musnął dolną wargę Miriam.

Ona zaś zamruczała coś niewyraźnie, ale bardzo podniecająco, wprost w jego usta. Rory wsunął rękę pod marynarkę i badawczo przesunął palcami wzdłuż krawędzi dekoltu sukienki. Potem znów. I jeszcze raz. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pod jego dotknięciami skóra dziewczyny stawała się coraz bardziej gorąca, a oddech coraz szybszy i coraz bardziej urywany.

Przy każdym poruszeniu miękka tkanina sukienki ugięła się i nim spostrzegł, co zrobił, wsunął pod nią dłoń. Głęboko i daleko. To, co napotkał pod spodem, było bardziej interesujące, albowiem, całkiem niespodziewanie, poczuł, że jego dłoń obejmowała kształtną pierś.

Przestał myśleć, kierował nim tylko czysty instynkt. Chwycił za krawędź sukienki i pociągnął w dół, aż, ku swemu zachwytowi, ujrzał przed sobą nagą, doskonale piękną półkulę. Zaskoczona Miriam aż sapnęła cichutko, gdy poczuła jego gorącą dłoń na obnażonej piersi. Równocześnie i jego język ośmielił się w poszukiwaniach. Z westchnieniem przywarła doń jeszcze mocniej, Rory zaś natrafił kciukiem na wyprężoną, różową perłkę. I pomyślał, że tak uroczej dziewczynie nie wolno ryzykować tak wiele. Powinna odepchnąć jego rękę.

Lecz przecież wcale tego nie chciał. Z wahaniem poruszył palcem w tył i w przód, a ciało Miriam gwałtownie zareagowało, wychodząc naprzeciw pieszczotom. Do kciuka dołączył drugi palec. Miriam z całej siły zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

Głuchym, zachrypniętym głosem, wyszeptała:

- Och! Rory. Och, proszę...

Wtedy to, nim zdążył zorientować się, co się dzieje - i za czyją sprawą - oparcie fotela gwałtownie opadło do tyłu, i już leżał płasko na plecach, mając Miriam na sobie. Nogi zaplątały się im w kierownicę, podciągnął się więc i poprawił. Ciężar Miriam był... tak cudowny, ona zaś nie wystraszyła się ani trochę. Gdy opadli wraz z fotelem, Podczołgała się ku górze i całym ciałem przywarła do Rory'ego.

Przez chwilę wpatrywał się w jej twarz i słuchał jej urywanego oddechu. Dostrzegł w jej spojrzeniu głód, który stanowił odbicie jego

pragnień. Jej włosy spływały kaskadami, tworząc jedwabistą zasłonę. Chwyił je pełną garścią, tuż nad karkiem i pociągnął mocno w dół. Znów pocałował Miriam, dziko i zachłannie.

Tym razem to ona przejęła inicjatywę, bo jej pocałunek wprost wibrował namiętnością, a język przebił się przez wargi Rory'ego. On zaś otoczył ją ramionami, otwartą dłonią sunął w dół jej pleców, nisko, coraz niżej.

Dłoń Miriam, wsparta na piersi Rory'ego, otwierała się i zamykała, a potem również rozpoczęła wędrówkę w dół, a kiedy dotarła do paska, nie zawahała się. Zanim Rory zorientował się, o co chodzi, wsunęła się pod krawędź jego spodni. r dotarła...

Był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył się zdziwić. Zdumiało go tylko, że spodnie stały się nagle tak bardzo ciasne. Przyciągnął mocno w dół biodra Miriam, a swoje wypchnął do góry. Dziewczyna pisnęła cichutko i opadła nań całym ciężarem, a potem nieco się uniosła i zaczęła gorączkowo szamotać się z klamrą jego paska.

Rory uniósł głowę i chwycił ustami różową perełkę. Zaczął trącać ją czubkiem języka, delikatnie pociągał... Gdy w pewnej chwili ścisnął mocniej, Miriam głucho jęknęła i zamarła bezruchu, by po chwili jeszcze energiczniej zмагаć się z paskiem. Udało się. Wtedy Rory podciągnął jej sukienkę aż nad biodra i przeżył kolejny wstrząs, nie spodziewał się bowiem, by Miriam miała na sobie tak skąpe majteczki, a do kompletu cienki pasek do pończoch.

O! Panno Thornbury, pomyślał i pod delikatną koronkę wsunął dłoń na gładki pośladek. Są rzeczy, których o tobie nie wiedziałem.

Odszukała suwak jego spodni i, trochę niezgrabnie, pociągnęła w dół, co wcale nie było łatwe w ciasnym wnętrzu samochodu. Zanim Rory zdążył

powiedzieć choćby słowo - chociaż i tak nie miał pojęcia, co mógłby rzec w takiej chwili - wsunęła dłoń pod jego bieliznę i zacisnęła palce. Rory zamknął oczy. Już tak dawno nie doświadczał takiego uczucia, a fakt, że zdarzyło się to właśnie z Miriam, tylko jeszcze zwiększał jego podniecenie.

Boże! - pomyślał. Jak cudownie!

Potem nie mógł już nawet myśleć, gdyż dłoń Miriam zaczęła poruszać się miarowo, zaś jego ręka powędrowała wyżej i pociągnęła za kuse majteczki. Dziewczyna musiała odczytać jego intencje, gdyż lekko uniosła biodra, by ułatwić mu zadanie, a potem opadła niżej i ugięła nogi w kolanach, dając w ten sposób ciche przyzwolenie, by Rory zupełnie z niej usunął cieniuteńki kawałek materiału. Jednak w sytuacji, w jakiej się znajdowali, było to niewykonalne, szczęśliwie Rory'emu udało się uwolnić jedną nogę Miriam i uzyskać w ten sposób swobodny dostęp do... swobodny dostęp, pomyślał nieprzytomnie.

- Oooch! Rory - zawołała.

Udało jej się rozpiąć pasek i spodnie, i jednym energicznym szarpnięciem wyswobodziła Rory'ego. Chwyciła go mocno i powróciła do rytmicznej pieszczoty.

Sprawy zaszły naprawdę bardzo daleko, pomyślał Rory. Jeśli natychmiast, bezzwłocznie tego nie przerwiemy, niechybnie dojdzie do...

- Kochaj mnie, Rory! Za późno.

Gwałtowna żądza przyćmiła mu oczy, lecz wciąż jeszcze resztki zdrowego rozsądku próbowały przebić się do jego świadomości. Przyszedł mu na myśl ostatni, jednak w swej istocie doskonały argument.

- Nie mam... - wychrypiał. - To znaczy nie byłem przygotowany na...
Ja... nie mam... hm...

- Zajrzyj do mojej torebki - rzuciła głucho.
- Słucham... słucham... słucham?

Zaświtało mu w głowie, że potrafiłby jeszcze zatrzymać bieg wydarzeń, gdyby ręka Miriam przestała robić to, co robiła, jednak czuł, że ma coraz mniej czasu.

Tymczasem Miriam uniosła się i sięgnęła na fotel, który niedawno opuściła. Zaszokowany Rory patrzył, jak otwarła torebkę i zręcznie wydobyła z niej małe, foliowe opakowanie. Z jeszcze większym zdumieniem patrzył, jak rozerwała folię, ułożyła zawartość na dłoni i uniosła w tryumfalnym geście, gdy zaś odezwała się, usłyszał coś tak zdumiewającego, że wprost nie do uwierzenia.

- Ja to zrobię - rzuciła.
- Słucham... słucham... słucham?
- Dam sobie radę - uspokoiła go. - Czytałam, jak to się robi.

Czytała, pomyślał Rory. Ciekawe, gdzie? Nie zdążył jednak już spytać, gdyż Miriam usiadła wygodnie i... spełniła obietnicę.

- Co teraz? - zapytała.

Nie czekając na odpowiedź, wróciła do stanu sprzed kilku chwil.

Pochyliła się nad nim, przytuliła i powiedziała:

- Kochaj mnie, Rory! Proszę - dodała głosem cichym, głębokim i prawie błagalnym.

- Jesteś pewna, że chcesz tego? - wysapał. - Wszystko stało się tak szybko.

- Naprawdę? Zabawne, bo mnie wydaje się, że czekam na to całe życie.

Nie umiał już nic wymyślić, spytał więc powtórnie:

- Czy jesteś pewna, Miriam?

- Nigdy niczego tak nie pragnęłam jak ciebie.

Coś w jej głosie kazało mu uwierzyć, że była to prawda, lecz jednocześnie był prawie pewien, że Miriam była równie skrepowana i zaskoczona całą sytuacją, jak on. Choć przecież dla niego nie powinno to być niespodzianką, wszak marzył o tym od tyłu już miesiący czyli od chwili, gdy ta wspaniała kobieta przybyła do Marigold. Natychmiast ubrał ją w szaty bogini, lecz ileż to razy - w marzeniach - zrzuciła je dla niego...Poza tym kilka dni wcześniej miało miejsce owo dziwne zdarzenie w bibliotece, kiedy to dosłownie spadła mu na kolana, a potem te chwile w sali wykładowej, kiedy zdawało się, że ich porozumienie dalece wykroczyło poza relacje między nauczycielem i uczennicą. I wreszcie pocałunek, który skradł jej całkiem niedawno, choć teraz po prawdzie zdawał się tak niewinny. Gdy jednak głębiej, to znaczy z większą szczerością na to spojrzeć, od razu dobrze wiedział, że kryło się za nim coś znacznie poważniejszego.

Tak, nie mógł dłużej oszukiwać samego siebie. Od bardzo dawna pragnął Miriam. Jeszcze żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Zdarzały się w ostatnich sześciu miesiącach takie dni, kiedy nie potrafił skupić się na swojej pracy naukowej, a działo się to wtedy, gdy Miriam Thornbury przeszła obok jego stolika.

Nie powinienem więc niczemu się dziwić, pomyślał. Chwycił ją mocno w tali i przywarł ustami do jej warg. Dziwił się tylko jednemu: dlaczego dopiero teraz zorientował się w tym wszystkim. Był przecież uczonym, którego podziwiano nie tylko za wiedzę, ale i za błyskotliwą bystrość umysłu...

Zarzucił rozmyślenia o tym, o czym powinien był wiedzieć wcześniej, a o czym nie, tylko zebrał w dłonie skraj sukienki Miriam i podciągnął wysoko nad biodra. Uniósł dziewczynę nieco do góry, by znaleźć się we właściwej

pozycji, i powoli opuścił ją niżej.

Zawahał się, zastygł na mgnienie oka, lecz Miriam zdecydowanie wzięła sprawy w swoje ręce.

Była wspaniała, słodka, doskonała i cudowna. Cichy jęk rozkoszy jednocześnie wyrwał się z ich warg. Oto byli razem, całkiem i do końca. Przez chwilę tulili się do siebie w bezruchu, a potem Rory rozpoczął energiczne działania.

Miriam krzyknęła głośno, na co on pomyślał, że może ją zranił, lecz ona uniosła się tylko po to, by opaść znowu. Rory zacisnął powieki. Trzymał ją mocno za biodra i pozwolił, by narzuciła swój rytm. Zaczęła wolno, niemal leniwie, lecz z każdą chwilą przyspieszała. Jeszcze i jeszcze. Ręce Rory'ego wspomagały jej ruchy. Mocno, jeszcze mocniej. Jego ciało z całą mocą wychodziło jej naprzeciw, aż wspólnym okrzykiem obwieścili kres radosnego szaleństwa.

Miriam opadła na Rory'ego i przytuliła się do niego z całej siły, a on wtulił twarz w jej szyję i pocałował gwałtownie, namiętnie. Właśnie chciał powiedzieć coś bardzo ważnego, zastanawiał się tylko, jakimi słowami opisać to, co się z nim działo, gdy nagle rozległo się głośne stukanie w szybę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Krew dudniła Rory'emu w uszach, w głowie mu łomotało, a jednak spostrzegł, że ustało już walenie gradu o dach samochodu, deszcz również zelżał, bo tylko delikatne kropelki cicho stukały i spływały po zaparowanych szybach. A potem zorientował się, że ktoś stukał w szybę po stronie kierowcy.

Miriam także musiała spostrzec, co się dzieje, gdyż pospiesznie przeniosła się na swój fotel i nerwowymi ruchami starała się doprowadzić do porządku garderobę. Podobnie Rory szamotał się z ubraniem.

Po dłuższej chwili ponownie rozległo się stukanie w szybę, lecz Rory zdołał już usiąść. Koszulę wypuścił na wierzch, by ukryć rozpięte spodnie, a kątem oka zauważył, że Miriam zdążyła obciągnąć sukienkę na biodra, zaś resztę skryła, owijając się szczelnie jego marynarką.

Ostrożnie uniósł rękę, rękawem przetarł szybę i dostrzegł niewyraźną, ciemną postać, spoza której mrugały czerwone i niebieskie światła. Choć widział tylko niewyraźny zarys, był niemal pewien, że widział mężczyznę odzianego w pelerynę, w jakiej w dżdżystą pogodę zwykli chadzać...

Dodając do tego czerwono- niebieskie światła, Rory bez trudu wydedukował, że miał przed sobą policjanta.

Na krótką, cudowną chwilę uwierzył, że policjant przybył, by go aresztować, bowiem czyny, których dokonał wraz z Miriam, z całą pewnością musiały być nielegalne. Poza tym przypomniał sobie ze zgrozą, że tkwią pośrodku opustoszałej autostrady, z przebitą oponą i włączonymi światłami awaryjnymi.

Pospiesznie wyciągnął rękę i wyłączył mrugające lampy, a potem

gwałtownie potrząsnął głową, by jakoś uporządkować kłębowisko myśli. Z deski rozdzielczej podniósł okulary i wsadził je na nos, aż wreszcie opuścił szybę. Napotkał badawczy wzrok policjanta.

- Czy... ma pan jakiś problem? - spytał Rory.

- To ja pana o to pytam - odezwał się policjant. - To pan stoi na poboczu z włączonymi światłami awaryjnymi.

- Ach, tak. My... hm... jechaliśmy do domu, rozumie pan, i złapaliśmy gumę. A pogoda jest taka okropna...

Urwał. Nawet nie dlatego, że był przekonany, iż policjant z łatwością dośpiewa sobie resztę, tylko po prostu nagle poczuł ogromne zmęczenie.

Było to niezwykle uczucie. Nigdy przedtem nie przytrafiło się mu coś podobnego, a przecież zrobili z Miriam zaledwie drobną część tego, co mogliby uczynić w bardziej sprzyjających warunkach. Do diabła, przecież tylko kochali się w samochodzie! Nie robił tego nawet jako nastolatek, zresztą pewnie dlatego, że, będąc licealistą, nigdy nie uprawiał seksu.

Jeśli tak wyczerpała go krótka przygoda w samochodzie - owszem, pełna ognia i namiętności - to czego mógłby oczekiwać, gdyby znalazł się z Miriam w innych okolicznościach? Na przykład w łóżku, gdzie nie groziłoby im zaplątanie się w kierownicę ani poobijanie boków o podłokietniki, gdzie mogliby rozkoszować się swoją bliskością przez długie godziny, a żaden policjant nie przerwałby im ich tego... zajęcia.

- Może pomóc zmienić koło? - Funkcjonariusz wyrwał Rory'ego z zamyślenia.

Miał już odmówić, gdy przypomniał sobie, że przecież, owszem, potrzebował pomocy, i to bardzo.

- Szczerze mówiąc moje zapasowe koło jest do niczego - powiedział i

wskazał na Miriam. - Ale moja... moja, hm... moja...

Obrócił się ku niej. Siedziała wyprostowana, ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie, kurczowo zaciskała poły marynarki i nie odzywała się. Jej policzki pałały, włosy były w nieładzie, a pierś unosiła się i opadała w gwałtownych oddechach. Wygląda, pomyślał Rory, jakby przed chwilą stoczyła morderczą bitwę, co w pewnym sensie zresztą było prawdą. Gorączkowo zastanawiał się, jak powinien przedstawić ją policjantowi, który cierpliwie czekał na wyjaśnienia.

Kim zatem Miriam była dla niego? - zastanawiał się. Była jego... jego... jego...

Przyjaciółką, odpowiedział sam sobie. Właśnie tak... Ale czy na pewno? Tak myślał o niej przedtem, zanim znalazła się na nim, z pierśią w jego ustach i z pośladkami w jego dłoniach.

Zgoda, być może „przyjaciółka” nie jest już najlepszym określeniem, albowiem Rory nigdy nie robił takich rzeczy z kobietami, którym przynależne było takie miano.

Koleżanka? - zastanawiał się. Nie, absolutnie nie, to określenie tym bardziej nie pasowało do sytuacji. Może więc osoba towarzysząca? Nie, zbyt bezosobowe i takie jakieś oficjalne. Poza tym wygląd Miriam, jak i sukienka, którą miała na sobie, mogłyby dać policjantowi wiele do myślenia.

Ktoś bliski? - Rory wciąż szukał właściwego określenia. Zdecydowanie nie. Sugerowałoby to istnienie między nimi jakiegoś związku, a przecież wcale tego nie chciał. No... chyba nie chciał.

Kochanka? - spytał sam siebie. Biorąc rzecz dosłownie, była to prawda, lecz w ten sposób wskazałby policjantowi na coś, o czym tak naprawdę Rory sam do końca nie wiedział, czy istnieje. To znaczy czy w ich przypadku

można było mówić o miłości.

Kim więc, dokładnie, jest dla mnie Miriam? - jeszcze raz spytał sam siebie.

- Moja, hm... - zaczął jeszcze raz, nie odrywając od niej spojrzenia. -
Moja, no... Moja...

- Pańska żona? - podpowiedział policjant.

- Boże! Nie! - rzucił Rory gwałtownie. - Ona nie jest moją żoną.

- A, to tak! - Policjant ze zrozumieniem pokiwał głową, a Rory zmieszał się jeszcze bardziej.

- Co, tak? - spytał. Funkcjonariusz bezradnie rozłożył ręce.

- Wyskoczył pan z dziewczyną, a nie z żoną - powiedział uprzejmie. -
Złapał pan gumę, spóźni się pan do domu i ma pan wielki kłopot. Wiem jak to jest, bo miałem już dwie żony i dwie dziewczyny.

- Nie, nie, nie - kategorycznie zaprotestował Rory. - Absolutnie nie.
Ona nie jest także moją dziewczyną. - To słowo równie źle opisywało, jaką rolę w jego życiu pełniła Miriam. Z całą pewnością była dla niego kimś znacznie ważniejszym niż dziewczyna. Była... była...

Wciąż bezskutecznie usiłował znaleźć wystarczająco precyzyjne określenie.

- Ona jest moją... Ona jest... moją...

- Jestem jego bibliotekarką - powiedziała cichym głosem. - To wszystko.

Choć formalnie była to prawda, Rory wiedział, że już nigdy nie będzie potrafił o tej kobiecie tak myśleć.

Policjant schylił się i spojrzał w głąb samochodu, by przyjrzeć się Miriam. Z wyrazu jego twarzy widać było, że za żadne skarby nie uwierzy, by

panna Thornbury była dla Rory'ego tylko bibliotekarką.

Bo też nie była, mając na względzie nie tylko ostatnie wydarzenia, lecz również uczucia, jakie Miriam żywiła do profesora Monahana.

- Tak... otóż... właśnie... - Policjant wyprostował się. - To co, potrzebujecie pomocy przy zmianie koła, czy nie?

I tak rozmowa znalazła się w punkcie wyjścia.

- Jak już mówiłem - ciągnął Rory - moja, hm, bibliotekarka jest członkiem „AAA”. Niestety nie mamy dostępu do telefonu, więc...

- Nie macie telefonu komórkowego? - spytał funkcjonariusz. - Przecież są bardzo przydatne, zwłaszcza w takich sytuacjach.

Rory warknął coś pod nosem, a potem dodał:

- Tak, hm, będę o tym pamiętał... A tymczasem może zechciałby pan zadzwonić do „AAA” i powiedzieć, że potrzebujemy nowego koła i pomocy przy jego zmianie? Będziemy bardzo wdzięczni. - Zmusił się do uśmiechu, mając nadzieję, że nie było widać, jak bardzo był fałszywy. - Potem - dodał - będzie pan mógł... sobie pojechać,

Rory bardzo żałował, że nie potrafił wyrazić tego inaczej. No cóż, nie zabrzmiało to najlepiej.

- Państwo też będą mogli sobie pojechać - odparł pogodnie policjant. - Teraz wrócę do radiowozu i zadzwonię po pomoc. Numer mam na mojej karcie, bo również, rzecz jasna, jestem członkiem „AAA”. Zaczekam w pobliżu, dopóki nie przyjedzie mechanik. Przecież pan i pańska, bibliotekarka - tu mrugnął znacząco - nie chcielibyście dotrzeć do domów zbyt późno. Żony tego nie lubią.

- Ale ja nie jestem... - zaczął Rory, lecz policjant już się oddalił. Znów byli z Miriam tylko we dwoje, jednak on zupełnie nie wiedział, co jej

powiedzieć.

Jedyne, co przyszło mu do głowy, brzmiało:

- Najmocniej przepraszam za moje wstrętne zachowanie sprzed kilku minut.

Niezdecydowanie pokiwała głową, lecz nie odezwała się.

- To było doprawdy niewybaczalne - dodał.

- Tak - zgodziła się cicho. - To prawda. Zdumiało go, że tak ochoczo przyznała mu rację, choć

bowiem jego postępowanie było niewybaczalnie nierozważne, to przecież wszystko zaczęła Miriam. Wiedział jednak, że nie usprawiedliwiało go to w najmniejszym stopniu - czy gdyby skoczyła z mostu, powinien natychmiast skoczyć za nią? - ale nie sądził też, by powinien ponosić całą odpowiedzialność. To przecież ona, mruczając jak kotka, wspomniała o dwojgu dorosłych ludziach, a właśnie od tego wszystko się zaczęło. To, że nie zrobił nic, by ją powstrzymać - a nawet z wielkim zapałem uczestniczył we wszystkim - nie dawało jej prawa do tego, by za wszystko obwiniać swego... partnera.

Jednak bez względu na to, co myślał, powiedział:

- Naprawdę, Miriam, bardzo przepraszam za to, co zrobiłem.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. - Nie powiedziałeś niczego nieprawdziwego. W końcu jestem przecież twoją bibliotekarką.

Otworzył usta i zamknął je bez słowa, bo teraz dopiero pojął, jak opacznie zrozumiała jego słowa. Była przekonana, że przepraszał ją za coś zupełnie innego, niż to, co naprawdę miał na myśli. Nagle poczuł się kompletnie zagubiony, bo z jej odpowiedzi wynikało, że wcale nie miała pretensji za tak w

samej rzeczy karygodny samochodowy seks, lecz zupełnie za coś innego. Natychmiast musiał wyjaśnić to nieporozumienie.

- Nie, Miriam - odezwał się łagodnie. - Mnie chodziło o to, że... Przepraszam cię za to, że... że... że tak napadłem na ciebie. - Nieświadomie ściszył głos do szeptu, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby go podsłuchać. - Za to, że tak cię wykorzystałem, no wiesz, erotycznie.

Popatrzyła na niego z niebotycznym zdumieniem.

- Nie napadłeś na mnie - powiedziała. - To ja napadłam na ciebie - dodała rzeczowo.

- No, może i tak - przyznał, absolutnie zaskoczony jej oświadczeniem - ale nie zrobiłem nic, żeby cię powstrzymać. A nawet przyłączyłem się do ciebie.

- I za to mnie przepraszasz?

- Oczywiście.

Widać było, że nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Och! - szepnęła po chwili. - Rozumiem.

- A co? Uważasz, że nie powinienem cię przepraszać?

- spytał. Pomyślał, że przecież zasługiwała na znacznie więcej, niż szybki numerek w samochodzie. Na atłasową pościel, światło świec i dźwięki łagodnej muzyki. I na mężczyznę, który poświęciłby mnóstwo czasu na słodkie pieszczoty.

- Żałujesz, że to się stało?- spytała.

- Oczywiście - powtórzył.

Nasz pierwszy raz powinien być inny, pomyślał.

- Rozumiem- powtórzyła Miriam cicho.

- A ty nie żałujesz, że to się stało? - zapytał. Odetchnęła głęboko.

- Przedtem nie - odparła gorzko - ale teraz zaczynam żałować.

A widzisz! - pomyślał z triumfem, lecz ten sukces jakoś dziwnie nie dał mu satysfakcji.

Miriam nie powiedziała nic więcej, bo cóż więcej było tu do mówienia?

Zatem i Rory siedział w milczeniu. Po kilku minutach zjawił się policjant z informacją, że pomoc drogowa jest już w drodze. Nie minęło dwadzieścia minut - które spędzili w całkowitym milczeniu - gdy mechanik sprawnie wymienił koło i odjechał.

Rory i Miriam znów zostali sami.

- No cóż, chyba powinniśmy jechać do domu - powiedział i uruchomił silnik. Nie mówiąc ani słowa, Miriam kiwnęła głową.

- Może chcesz zatrzymać się gdzieś po drodze na kawę? - spytał Rory, sam zaskoczony tą propozycją.

Jeszcze bardziej zdumiało go, jak bardzo pragnął, by się zgodziła. Naprawdę powinniśmy porozmawiać, pomyślał, choć z drugiej strony może byłoby lepiej, gdybyśmy zostawili sobie trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

- Nie - odparła Miriam. - Bardzo dziękuję. - Jej głos brzmiał zimno i bezbarwnie, jak głos mechanicznej lalki.

Rory czuł wyraźnie, że powinien coś powiedzieć, jednak nie miał pojęcia, co by to miało być, bez słowa wyjechał więc na szosę i ruszył w stronę Marigold. Tylko coraz mocniej czuł, że już nic nie będzie jak dawniej.

Niedługo potem zatrzymali się przed blokiem Miriam. Rory wyłączył silnik. Cicho się pożegnali i kiedy patrzył za nią, idącą powoli do drzwi, gdy przyglądał się pogniecionemu bukietowi na jej ręce, wtedy był już pewien. Nic nie będzie jak dawniej.

Gdy następnego ranka Miriam otwierała drzwi do biblioteki, nie czuła towarzyszącego jej zwykle w takich razach radosnego podniecenia. Nie było to spowodowane padającym deszczem, choć, oczywiście, deszcz nie poprawiał jej nastroju, albowiem nieustannie przypominał o tym, co się wydarzyło minionej nocy.

Mój Boże! - pomyślała. Weszła do biblioteki, lecz wciąż miała przed oczami szalone obrazy, które sprawiały, że co chwila drżała to z lęku, to z pożądania. Jak mogło do tego dojść? - pytała samą siebie. Owszem, usłuchała rady „Metropolitan” i zabrała ze sobą prezerwatywę, ale przecież nigdy nie wierzyła, że jej użyje. A jednak stało się. Poznali się z Rorym znacznie bliżej.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że poprzedniej nocy kochali się w aucie jak para ogłupiałych z pożądania nastolatków. Nie mogła pojąć, jakim cudem aż tak straciła nad sobą kontrolę. Nawet gdyby próbowała zwalić całą winę na Wewnętrzną Uwodzicielkę, dobrze wiedziała, że nie jakaś wymaginowana postać, lecz ona sama odpowiadała za swoje uczynki, nawet jeśli tak dalece odbiegały od jej zwyczajów.

Nie umiała zapanować nad sobą, gdy Rory tak namiętnie ją pocałował i położył dłoń na jej nagiej piersi... Coś w niej eksplodowało, coś zupełnie nieznanego, czego nigdy przedtem nie doświadczyła. Owładnęły ją niepoahamowane żądze i dzikie pragnienia. Wydało się jej, że zrodziło się między nimi coś niezwykłego, wyjątkowego i wielkiego. Była przekonana... Była pewna, że on czuł to samo. Że musiał... że musiał...

Westchnęła głęboko. Że musiał kochać ją tak, jak ona kochała jego. Nie było sposobu, by powstrzymać to, co zdarzyło się między nimi ubiegłej nocy. Było to bowiem tak... naturalne, doskonałe i właściwe.

Nie, to nie wydarzenia poprzedniej nocy wprawiły ją w nastrój tak

wielce melancholijny. Przyczyną było to, czego dowiedziała się później, a mianowicie, że Rory jej nie pragnął. W każdym razie nie tak, jak ona jego. Żałowała tylko, że nie wiedziała o tym wcześniej, nim sprawy zaszły aż tak daleko.

Bez wątpienia pragnął jej minionej nocy, dokładnie tak, jak - zdaniem „Metropolitan” - mężczyzna powinien pożądać kobiety. Przecież to, co przydarzyło się jej z Rorym, opisali w niejednym numerze pod krzykliwymi tytułami: „Atrakcje na poboczu, o których twoja matka nigdy ci nie mówiła!”, albo „Gdy zmyli drogę, znajdź jego dźwignię zmiany biegów!”, albo „Co zrobić, gdy pęknie opona, a on nie!”.

Tak, pomyślała smutno. Powinna napisać do redakcji, żeby następny numer w całości poświęcili samochodom i kierowcom. Mogłaby dostarczyć im mnóstwo materiału.

No cóż, owszem, Rory pragnął jej minionej nocy, lecz było to pożądanie czysto fizyczne. Nie, nie miała nic przeciw temu, by łaknął jej w taki sposób, lecz chciałyby, żeby pragnął jej również trochę bardziej duchowo.

„Boże! Nie! Ona nie jest moją żoną”.

„Absolutnie nie. Ona nie jest także moją dziewczyną”.

Na pewno nie pragnie mnie w sposób bardziej duchowy, pomyślała, gdy zadźwięczały jej w uszach jego słowa.

Miriam zrozumiała - szkoda, że tak późno - jaka jest różnica między uwiedzeniem mężczyzny a rozkochaniem go w sobie. Bowiem - to także w końcu pojęła - tego właśnie pragnęła od dawna. I choć bez wątpienia zdołała uwieść Rory'ego, a on ogromnie pożądał jej ciała, to o prawdziwej miłości nie było mowy. Z całą pewnością.

A co na to „Metropolitan”? - zastanawiała się Miriam, idąc korytarzem i włączając po drodze światła. Dokładnie przejrzała wszystkie numery, które miała w domu, lecz nigdzie, ani razu, nie pojawiło się tam słowo „miłość”.

Weszła do swojego pokoju i zdjęła płaszcz przeciwdeszczowy. Uświadomiła sobie, że znalazła się w tej samej pułapce, w jaką wpadło już tyle kobiet: utożsamiała seks z miłością. Zupełnie zapomniała, że to pierwsze wcale nie musi iść parze z drugim.

*Au contraire**.

Ludzie na pewno mogą uprawiać seks bez miłości, pomyślała. Najlepszym dowodem może być to, co zrobił Rory poprzedniej nocy. Można także prawdziwie kochać bez seksu, czego najlepszym dowodem jest ona sama.

* *Au contraire* (fr.) - przeciwnie. (Przyp. tłum.).

Bowiem Miriam kochała Rory'ego, nie mogła dłużej tego ukrywać przed samą sobą. Kochała go od wielu miesięcy, pewnie już od chwili, gdy przybyła do Marigold. I, bez wątpienia, będzie kochała go jeszcze długo, być może zawsze, nawet jeśli już nigdy nie będzie uprawiać z nim seksu.

Westchnęła ciężko i na haku z tyłu drzwi zawiesiła mokry płaszcz. Wciąż myślała o tym, dlaczego nie okazała się na tyle mądra, by nie zakochać się w Rorym.

I znowu przypomniał się jej tamten słodki pocałunek podczas przechadzki w okolicy restauracji „U Winony”. Wciąż nie mogła tego zrozumieć. Ten jeden jedyny raz Rory przejął inicjatywę, lecz jego całus był niewinny, czuły i ostrożny. Jak to możliwe, że w ciągu niespełna godziny

przebyli drogę od nieledwie dziecinnej pieszczoty do prawdziwej pożogi zmysłów?

Chyba jednak, niestety, znalazła odpowiedź. Podczas przechadzki u boku Rory'ego kroczyła Miriam Thornbury, bibliotekarka, a w samochodzie kochała się z nim Miriam- Uwodzicielka. Miriam- Bibliotekarka miała jakieś szanse i mogła snuć marzenia o przyszłości, pozwoliła jednak, by Miriam- Uwodzicielka przejęła pałeczkę. I w ten oto sposób wszystko zostało zaprzepaszczone.

Znów była Miriam- Bibliotekarką, jak zwykle ubraną w prostą szarą spódnicę i jasnoróżową bluzkę, z włosami starannie upiętymi na karku. A Rory? - pomyślała. Prawdopodobnie śpi w domu, śniąc o tej, która uwiodła go poprzedniej nocy.

Niech diabli wezmą „Metropolitan”! - pomyślała. Na każdym numerze powinno się naklejać ostrzeżenia.

Była w tak ponurym nastroju, że gdyby w tej chwili weszła do jej biura pani burmistrz Isabel Trent i zażądała, by Miriam wzięła udział w publicznym paleniu „Metropolitan” na głównym placu miasta, ani chwili by się nie zawahała.

- Miriam, jak cudownie, że jesteś tak wcześnie. Wiedziałam, że tak będzie. Jesteś taka sumienna. Zawsze można na tobie polegać.

Jakby wezwana jej myślami, do pokoju weszła pani burmistrz, jednak nie trzymała narecza „Metropolitan” ani bańki z benzyną, i w ten oto sposób nadzieje Miriam na ładne ognisko zgasły. Mogła jedynie liczyć na rozsądną, konstruktywną rozmowę o fatalnym wpływie niektórych pism na życie młodych kobiet.

Niestety, gdy tylko pani burmistrz przemówiła, i ta nadzieja okazała się

płonna.

- Chciałabym, Miriam, żebyś zatańczyła dla mnie. Z wielkiego zaskoczenia i zdumienia straciła mowę.

- Huh? - Tyle tylko zdołała wydusić.

- Och, to nic trudnego, zapewniam cię - powiedziała pani Trent, kwitując dziwny dźwięk niedbałym machnięciem ręki. - Jakiś fokstrot, jeden, może dwa walce. Przecież na pewno brałaś lekcje tańca, gdy byłaś mała. To po tobie widać.

- Huh? - powtórzyła Miriam odrobinę energiczniej.

- No dobrze, jeśli walc jest zbyt trudny, to może znajdzie się coś innego - zgodziła się pani Trent wspaniałomyślnie. - Ale koniecznie musisz dla mnie zatańczyć.

- Huh? - powtórzyła Miriam po raz trzeci, tym razem nie kryjąc już zniecierpliwienia.

Pani Trent spostrzegła wreszcie jej zakłopotanie, a zarazem uświadomiła sobie, jak niezwykle były jej słowa. Zachichotała nerwowo, uniosła rękę i zaczęła obracać guzik od żakietu.

- No, cóż, chyba zabrzmiało to trochę dziwacznie, prawda? Jestem ci winna wyjaśnienie.

Miriam energicznie pokiwała głową.

- Chętnie go wysłucham, pani Trent.

- Tutejszy oddział Kiwanis Club* organizuje w ten weekend doroczny bal dobroczynny w sali balowej „Stardust” Tony’ego Palermo - powiedziała pani burmistrz. - Dzieje się tak każdego roku. Ty tak krótko tu mieszkasz, że możesz o tym nie wiedzieć, ale całe miasto z niecierpliwością czeka na to wydarzenie i wszyscy mieszkańcy przychodzą na bal. Każdego jednak roku

brakuje tancerek, a na domiar złego Tiffany Parmentier złamała nogę w kostce,

** Kiwanis International - założona w Detroit w roku 1915 międzynarodowa organizacja charytatywna, której celem jest pomoc dzieciom i ludziom starszym.*

Debbie Sherman wyjechała w podróż poślubną, a Shannon Epstein urodziła bliźnięta. Cała nadzieja w tobie, Miriam.

Głowa niemal jej pękała od nadmiaru informacji i splątanych myśli.

- Ja... Huh?

- My, mieszkańcy Marigold, nigdy nie uchylamy się, gdy potrzebna jest nasza pomoc - powiedziała pani Trent karcąco. - Osobiście zgodziłam się zastąpić Debbie. - Zabrzmiało to odrobinę wyniośle. - Nigdy nie wymagam od moich wyborców czegoś, czego nie mogę zrobić sama.

No pewnie, pomyślała Miriam, dlatego nie zawahałaś się nakazać pewnej bibliotekarce cenzurowania książek. Wbiła w panią burmistrz okrągłe ze zdumienia oczy.

- Obawiam się, że nie rozumiem, pani Trent. Co to w ogóle za bal?

- Już ci mówiłam, doroczny charytatywny bal Kiwanis Club w sali balowej Tony' ego Palermo. Zebrane pieniądze zasilą fundusz stypendialny. Jest to towarzyskie wydarzenie lata. Zwykle przynosi taki dochód, że wystarcza na wysłanie kilkorga uczniów na uniwersytet stanowy.

- Ale... tancerki? - spytała Miriam.

- Jak na takim balu zebrać dużo pieniędzy? Sprzedając tańce.

- No, tak, ale... dlaczego ja?

Pani burmistrz uśmiechnęła się ciepło i Miriam dostrzegła w tym uśmiechu „rodzinne wartości” pani Trent.

- Zawsze to miło, gdy atrakcyjni młodzi chłopcy i śliczne dziewczęta zatańczą ze starszymi wdowami i wdowcami.- A dlaczego starsze wdowy i wdowcy nie mogą zatańczyć ze sobą? - spytała Miriam.

Pani Trent wzruszyła ramionami.

- Ponieważ oni wolą tańczyć z atrakcyjnymi młodzieńcami i ślicznymi dziewczętami. Właśnie dlatego.

- Och!

- Każdy uczestnik balu płaci pięćdziesiąt dolarów i w zamian spodziewa się dobrej zabawy - powiedziała pani burmistrz, jakby to wyjaśniało wszystko.

I, prawdę mówiąc, tak było.

- Ale to już bardzo niedługo - zaprotestowała Miriam. - Nie jestem pewna, czy będę miała wolny wieczór. W ten weekend muszę odstawić samochód do przeglądu, a poza tym nie mam co na siebie włożyć.

Zobaczymy, co teraz, pomyślała. Dlaczego nie potrafiła wymyślić żadnej porządnej wymówki?

Zresztą to i tak nie miało znaczenia, bowiem pani Trent nie zamierzała przyjmować żadnych usprawiedliwień.

- Znajdź czas - rozkazała. - Samochód możesz oddać do przeglądu innym razem, a Lola Chacha, szefowa tancerek u Tony'ego Palermo - to nie jest, rzecz jasna, jej prawdziwe nazwisko - ma mnóstwo sukni balowych i z radością pożyczy ci jedną. Mówiła, że i dla mnie znalazła coś doskonałego.

Miriam milczała.

- No to załatwione - stwierdziła pani burmistrz i uśmiechnęła się z

satysfakcją. - Do zobaczenia w sobotę wieczorem u Tony'ego Palermo. Włóż wygodne buty. Jestem pewna, że będziesz tańczyła przez całą noc.

I nie czekając na odpowiedź, Isabel Trent wybiegła z biura, bez wątpienia w poszukiwaniu kolejnej tancerki, czy raczej niczego nieświadomej ofiary.

Miriam ponuro pokręciła głową. Zastanawiała się, czy nie powinna zatelefonować do pani burmistrz i wyznać, że od pokoleń wszyscy w jej rodzinie nie umieli tańczyć. Nie zatańczyliby nawet wtedy, gdyby od tego zależało ich życie.

Jakoś to będzie, pocieszała się w myślach, w końcu będzie płaszać tylko ze starymi wdowcami, którzy, miała nadzieję, nie zauważą jej rodzinnego antytalentu. Nagle zmarkotniała, gdyż uświadomiła sobie, że to samo może powiedzieć o Rorym Monahanie.

Na szczęście najpewniej tam się nie zjawi, uspokajała się, albowiem, wbrew zdaniu pani Trent, bal dobroczynny nie dla wszystkich mieszkańców Marigold był aż tak ważnym wydarzeniem. Podczas gdy ona będzie w pożyczonej sukni hasać z emerytami, Rory Monahan jak zwykle zasiądzie przy swoim stoliku w bibliotece, radośnie przewracając kartki piętnastego tomu „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana.

Z żalem pomyślała, że Rory na pewno będzie bawił się lepiej niż ona, ponieważ będzie miał przy sobie to, co kocha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W środowy wieczór Rory wszedł do sali wykładowej, by poprowadzić kolejny wykład o klasycznych cywilizacjach. Był zdenerwowany. Czuł się dziwnie zaniepokojony i kompletnie nieprzygotowany. Oczywiście nie chodziło o historię, bo tę znał doskonale, lecz tego wieczoru jego myśli z daleka omijały zamierzchłe dzieje. Przez cały dzień mógł myśleć tylko o Miriam Thornbury.

Gdy zbudził się tego ranka - a spał bardzo źle - był niemal pewien, że wydarzenia minionego wieczoru po prostu mu się przyśniły. Przecież nie mógł się kochać z Miriam Thornbury, i to w samochodzie, wszak oboje byli rozsądnymi, inteligentnymi, myślącymi dorosłymi ludźmi, którzy potrafią panować nad prymitywnymi instynktami.

Tak, to był tylko sen. Gładkość delikatnej skóry Miriam, jej jedwabiste włosy, cudowny smak piersi. I oszałamiająca rozkosz zbliżenia. To był tylko sen, powtarzał sobie. Zwariowany, szalony erotyczny sen.

Kiedy wsiadł do samochodu, spostrzegł za siedzeniem pasażera skrawek jedwabiu cielistej barwy. Po dokładnym sprawdzeniu okazało się, że były to damskie majteczki i wtedy musiał pogodzić się z faktem, że to, co uważał za zwariowany, szalony, erotyczny sen, było zwariowaną, szaloną, erotyczną rzeczywistością.

Kochał się z Miriam Thornbury, i to w samochodzie, na ciemnym poboczu autostrady, zupełnie jakby był szesnastoletnim młokosem, który zupełnie nie potrafi zapanować nad własnym ciałem. Jakby po raz pierwszy w życiu zakochał się.

Zaraz! Chwileczkę! - pomyślał. Zapatrzył się w pustą salę wykładową. Stój! Powtórz to jeszcze raz.

Po raz pierwszy w życiu zakochał się... Zakochał się... Miłość...

Miłość?

Czy to możliwe? Czy dlatego nieustannie myślał tylko o Miriam?

Jeszcze nigdy nikomu nie udało się oderwać myśli Rory'ego od jego naukowych zajęć, a tu, o zgrozo, on sam nie chciał nawet o nich myśleć. Z Rosalinda nie miał takich kłopotów. Nigdy nie czuł się tak... taki...

Właśnie. Coraz mocniej podejrzewał, że to musiała być miłość, gdyż całkiem niespodziewanie okazało się, że najbardziej na świecie pragnął być z Miriam.

Cóż za wstrząsające odkrycie, pomyślał. Ale całkiem przyjemne.

Poza tym czy naprawdę była to niespodzianka? Przecież już od dłuższego czasu wszystkie jego myśli i fantazje dotyczyły tej kobiety. Rosalinda nigdy nie zdołała tak całkowicie zawładnąć jego myślami. Owszem, kiedy był z nią, zdarzyło mu się zaniedbać pracę, ale nigdy nie zarzucił jej całkowicie. Co tam, i tak zawsze była czymś najważniejszym, natomiast Rosalinda błąkała się gdzieś w tle. Pewnie dlatego go zostawiła. Nawet nie mógł mieć do niej o to żalu.

Tymczasem od poprzedniego wieczoru to badania Rory'ego znalazły się gdzieś w tle, albowiem dumał tylko o Miriam. I tylko o niej chciał myśleć, a wszystko inne bladło, odchodziło w cień. Jego praca, cała historia ludzkości. Ba, nawet wojna peloponeska!

Wielkie nieba! Naprawdę zakochałem się w tej kobiecie, pomyślał. Tylko tak mógł wytłumaczyć to, co działo się z nim, bo choć jak zwykle czuł przyjemne podniecenie idąc na wykład, choć z radością myślał, że znów

będzie mógł podzielić się swoją wiedzą z innymi, to przecież...

To jednak nie pasja nauczycielska zawładnęła nim bez reszty, ale nadzieja, że ujrzy Miriam. Sama ta myśl podniecała go. Czuł przyjemne ciepło, gdy uświadamiał sobie, że to z nią będzie dzielił się wiedzą. Swoją drogą, chcąc być szczerym wobec samego siebie, musiał przyznać, że nie o wiadomości dotyczące klasycznych cywilizacjach mu chodziło, lecz o tajniki znacznie bardziej intymnej natury.

Gdy dokładnie uświadomił sobie, co naprawdę się wydarzyło, serce zaczęło walić mu jak młotem. Rory Monahan zakochany! Czy ktoś mógł to przewidzieć? Bo on sam na pewno nie.

W takim razie powinien był zatelefonować do Miriam i powiedzieć jej o tym. Powinien był to zrobić, gdy tylko znalazł w aucie jej majteczki, niestety przez cały dzień nie potrafił dobrać odpowiednich słów.

„Halo, Miriam? Wiesz, że zostawiłaś majteczki w moim samochodzie? Tak, też uważam że było wspaniale. Powinniśmy powtórzyć to jak najszybciej”.

Nie, to na pewno nie było właściwe.

To, co Rory chciał jej powiedzieć, powinno być przekazane osobiście, a nie przez telefon. Nie chciał jej jednak przeszkadzać w pracy, no i potrzebował trochę czasu, by właściwie się przygotować. Wiedział też, że i tak zobaczy ją wieczorem na wykładzie. Tak więc zdecydował... to znaczy poprosi ją, by po zajęciach poszli gdzieś we dwoje, w jakieś spokojne, ustronne miejsce, gdzie będą mogli odbyć osobistą rozmowę. Porozmawiać o tym, co zaszło, jakie to miało znaczenie, i co czekało ich w przyszłości.

Bowiem Rory bardzo pragnął wspólnej przyszłości z Miriam. Długich lat, w których będzie miejsce nie tylko na pracę naukową i badania. Miał

nadzieję, że również ona chciała tego samego.

Wykonał kilka głębokich wdechów, by uspokoić tłukące serce, lecz nie zdało się to na nic. Gdy skrzypnęły drzwi, jego serce jeszcze przyspieszyło. Poderwał głowę w nadziei, że do sali wejdzie Miriam.

Lecz to nie była ona. Potem przyszła kolejna osoba. Potem następna. I jeszcze jedna. Minął kwadrans. Po raz pierwszy w życiu Rory zwlekał z rozpoczęciem wykładu, czekając na wszystkich słuchaczy. Miriam jednak nie przyszła.

To nie był dobry znak.

Gdzie ona jest? - myślał. Zauważył, że słuchacze zaczęli się niecierpliwic, jednak na pewno nie bardziej niż on.

Dlaczego nie przychodzi? Chyba nie chce widzieć się ze mną, pomyślał ponuro. Czy to możliwe? Przecież wczoraj była taka... chętna i radosna. A może tylko mu się zdawało? Może, nie tak jak on, kierowała się tylko fizycznymi żądzami? I kiedy już je zaspokoila - bo tyle przynajmniej chyba mu się udało działać? - przestała się nim interesować.

Nie mógł w to uwierzyć, bo Miriam Thornbury nie wyglądała na osobę, która kierowałaby się fizycznymi instynktami.

Nie, Rory był pewien - no, prawie pewien - że Miriam również darzyła go uczuciem, jak jednak głębokim, tego nie wiedział.

A może zwiódł ją minionej nocy? Rozczarował? Może przestała go lubić? I już go nie chciała?

Koniecznle musiał z nią porozmawiać, i to jeszcze tego wieczora. Po wykładzie pojedzie do niej, żeby dowiedzieć się, w jakim punkcie oboje się znajdowali. Miał nadzieję, że w tym samym. Nie mógł znieść myśli, by Miriam nie chciała go więcej widzieć.

Wcale nie dlatego, że biblioteka była jego ulubionym miejscem na ziemi, a Miriam - jego ulubioną bibliotekarką... Z ciężkim sercem i bez entuzjazmu Rory rozpoczął wykład. Tego dnia nie czuł radości. Przepadła gdzieś przyjemność nauczania, a historia straciła cały swój urok.

Ponieważ nie mógł się nią dzielić z pewną kobietą o szarych oczach.

Niestety, kiedy Rory przyjechał do Miriam, nie zastał jej w domu, a przynajmniej nie dała znaku życia, choć stukał długo i donośnie. Zdziwiło go to. Wiedział przecież, że nie miała dzisiaj dyżuru w bibliotece. Specjalnie tak to zorganizowała, by ..chodzić na jego wykłady. Zrobiła to, zanim pojechali na kolację. Zanim kochali się. Dziwne.

Napisał na karteczce krótką informację, że przejeżdżał obok i wpadł przywitać się. Czy naprawdę to chciał jej powiedzieć? Czyż nie przyleciał tu, gnany obsesyjnymi myślami o niej?

Potem pojechał do biblioteki, lecz tam również Miriam nie było. Tego się jednak spodziewał. Napisał drugą karteczkę, że jej szukał, bo chciał się z nią zobaczyć. Nie mógł przecież napisać: „Kocham cię. Pragnę cię. Potrzebuję cię. Proszę, wróć do mnie, najśłodsza Miriam”.

Wracał do domu z uczuciem straszliwej pustki, jakby Miriam całkowicie znikła z powierzchni ziemi. Skoro nie było jej na wykładzie, w pracy i w domu, to gdzie mogła być? Jak miał porozmawiać z nią, skoro nie potrafił jej znaleźć?

A jeśli specjalnie go unikała?

Nie, pomyślał, to niemożliwe. Nie zrobiłaby tego. Wiedział przecież, gdzie jej szukać, wiedział, że następnego dnia będzie w bibliotece, a było to miejsce ciche i spokojne, dające wiele szans i możliwości. I chociaż raczej nie powinno się tam rozmawiać, Rory wierzył, że w tym przypadku bibliotekarka

zrobi wyjątek.

Tylko najpierw trzeba ją znaleźć, pomyślał Rory następnego ranka, gdyż Miriam nadal nigdzie nie było. Wprawdzie powiedziano mu w recepcji, że miała tego dnia dyżur, za nic jednak nie mógł jej odszukać. Gabinet był pusty, nie kręciła się między regałami, a piętnasty tom „Przewodnika po wojnie peloponeskiej” Stegmana leżał na jego stoliku. Tam, gdzie go zostawił. Żeby było śmieszniej - choć to bardzo niewłaściwe słowo - tego dnia Rory ani trochę nie miał ochoty na studiowanie Stegmana, bo jedyne, co chciałby poznawać, nie tylko zresztą dzisiaj, bo przez resztę życia, to Miriam Thornbury. Niestety, ona ewidentnie nie miała chęci na zgłębianie tajników Rory'ego.

W posepnym nastroju opuścił bibliotekę. Jeżeli Miriam nie chciała się z nim widzieć, to i tak nie zmusi jej do tego, prawda? Może potrzebuje trochę czasu, by wszystko rozważyć i podjąć decyzję? - pomyślał.

Przecież musi kiedyś tu wrócić, wszak nie rozplynęła się w przestworzach, a on mógł mieć tylko nadzieję, że gdy Miriam znów się tu zjawi, wciąż będzie chciała Rory'ego Monahana. Bo on sam wiedział, że czas, gdy Rory Monahan nie będzie pragnął panny Thornbury, nie nadejdzie już nigdy.

Nadszedł sobotni wieczór. Przez cały ten czas Rory, ku swemu wielkiemu rozczarowaniu, nigdzie nie spotkał Miriam, za to zdziwił się bardzo, gdy jego brat, Connor, przypomniał mu, że obiecał wybrać się razem z nim na dobroczynny bal Kiwanis Club do sali balowej Tony'ego Palermo. Connor naciskał z niezwykłą mocą, by Rory dotrzymał słowa, gdyż miało to pomóc dzielnemu detektywowi w romantycznym pościgu za panną Eriką Heywood.

I tak oto profesor Monahan stał na skraju zatłoczonego parkietu, przyglądał się wirującym tancerzom i zastanawiał się, w jaki sposób miałby pomóc bratu. Prawdę mówiąc, Rory nie mógł nawet przypomnieć sobie, kim była panna Erica Heywood, ani też dlaczego Connor prowadził romantyczny pościg.

Oczywiście miał kilka teorii na ten temat, zwłaszcza od chwili, gdy zaraz po przyjściu do sali balowej Tony'ego Palermo zobaczył Erikę Heywood, ponieważ rzeczona panna była dziewczyną wprost oszałamiającą... oczywiście jeśli komuś odpowiadała rudowłosa piękność z wielkim biustem i szerokimi biodrami. Tak jak na przykład Connorowi.

Jednak dla Rory'ego panna Erica Heywood nie była wzorem kobiecej urody, bo w jego przekonaniu idealna piękność nie powinna wyglądać aż tak krzykliwie, mieć rude włosy, posągowe kształty, wielki biust i szerokie biodra. Mówiąc wprost, powinna być ciemną blondynką o szarych oczach, szczupłej budowie i ustach aż proszących się o posmakowanie. Z figurą bogini i...

Boże, znowu! - pomyślał. Jak na człowieka wykształconego, dziwnie słabo kontrolował własne myśli. Nie mógł jednak nie przyznać, że rozmyślanie o Miriam były bardzo przyjemne, choć kładła się na nich cieniem niepewność o ich wspólną przyszłość... o ile w ogóle taką mieli.

Choć zostawił karteczki u niej w mieszkaniu i w bibliotece, Miriam nie odezwała się. Potem jeszcze raz pojechał do biblioteki, lecz jej tam nie spotkał. Zaczynał już podejrzewać, że naprawdę go unikała. Była to najokropniejsza myśl, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

Odegnał ją od siebie czym prędzej i okazało się, że... nie pamiętał, o czym myślał przedtem. No tak, tańce.

Rory nie miał nic przeciwko balom charytatywnym, muzyce czy tańcom. Nie zwalczał tych sfer życia, tylko po prostu w nich nie uczestniczył, jednak w tym roku, za sprawą obietnicy, którą jakoby złożył Connorowi, pojawił się na gwarnej i rozhasanej sali.

Chociaż, by tak do końca pozostać w zgodzie z prawdą, nie był to jeszcze prawdziwy powód. Otóż Rory zjawił się na sali balowej Tony'ego Palermo tylko dlatego, że przybyli tu wszyscy mieszkańcy Marigold, zatem zgodnie z logiką powinna być tu obecna również Miriam Thornbury. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Tak czy siak, obaj bracia stawili się na balu. Rory włożył swój najlepszy, granatowy garnitur i jedwabny krawat w kolorze starego burgunda, wyglądał więc bardzo sztywnie i elegancko. Żałował tylko, że nie miał osoby towarzyszącej, którą, oczywiście, powinna być Miriam, ponieważ jednak to Connor przyciągnął go tutaj, Rory miał wrażenie, że to on jest ową osobą towarzyszącą. Do czasu jednak, bowiem gdy jego brat w przeciwnym kącie sali dostrzegł pannę Erikę Heywood, zostawił Rory'ego i odszedł. Od tej pory pozostało mu już tylko podpieranie ścian.

Ale z drugiej strony, gdyby Rory zjawił się z jakąś kobietą - nawet z Miriam - musiałby liczyć się z tym, że ona - nawet Miriam - będzie oczekiwała - a nawet domagała się - by Rory z nią tańczył.

Ostatecznie rzecz działa się w sali balowej. A Rory, całkiem zwyczajnie, ni w ząb nie posiadał tej sztuki. Można iść o każdy zakład, że gdyby tylko spróbował pisać, haniebnie by się skompromitował.

A zatem dobrze się stało, że przyszedł sam, nawet jeśli czuł się trochę nieprzyjemnie w roli podpory ściany. Szkoda tylko, że nie wziął ze sobą jakiejś książki.

W tym właśnie momencie dostrzegł w kłębowskiu ludzi osobę blisko związaną z miejscową biblioteką, i wcale nie był to pan Amberson, lecz Miriam Thornbury we własnej osobie.

Tak przynajmniej mu się wydawało, gdyż kobieta, którą dostrzegł, zawirowała w tańcu i znikła w tłumie, a także dlatego, że tańczyła z dżentelmenem starszym od niej przynajmniej trzy razy. I dobre piętnaście centymetrów niższym. A sądząc po tym, jak staruszek rozpaczliwie podrygiwał, musiał być albo wyjątkowo cierpiący, albo Miriam była tancerką jeszcze gorszą niż Rory. Poza tym nigdy nie widział Miriam w sukni balowej, a już zwłaszcza w takiej!

Przypomniało mu się, jak wyglądała, gdy widział ją ostatnio. Jak pachniała... Jak...

Stanowczo powinien był dołożyć więcej starań, by się z nią skontaktować. Skoro nie mógł jej odszukać, powinien był przynajmniej próbować dodzwonić się do niej. Owszem, nawet miał taki zamiar, ale zawsze coś go powstrzymywało. Nawet nie to, że tak rozpaczliwie pragnął porozmawiać z nią osobiście, ani nie to, że wyraźnie go unikała, tylko wciąż myślał o tym, jak niezgrabnie zakończyło się ich ostatnie spotkanie i naprawdę nie był pewien, czy Miriam chciałaby rozmawiać z nim nawet przez telefon.

A jednak powinienem był zadzwonić, pomyślał.

I powinienem był coś zjeść, skonstatował po chwili. Przy wejściu Connor kupił garść talonów na napoje i zanim zniknął, wetknął połowę z nich do kieszeni Rory'ego, który dzięki temu wypił kilka kieliszków niespodziewanie dobrego czerwonego wina i teraz czuł miłe ciepło rozlewające się po całym ciele.

Jednak trzeba by chyba coś zjeść, pomyślał. Może Miriam skończy w tym czasie tańczyć? Wtedy będę mógł z nią porozmawiać.

Znów ją zobaczył. Był niemal pewien, że to ona. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie ją spostrzegł i stanął, zdezorientowany, wśród tańczących par. Tyle czasu próbował wypatrzeć ją wśród rozbawionych ludzi, a na koniec i tak jej nie znalazł.

Obrócił się na pięcie, by wrócić do podpierania ściany i... stanął oko w oko z bajeczną postacią.

- Rory? - spytała cicho.
- Miriam - prawie wyszeptał.

Patrzyła nań ponuro, więc nie ucieszyła się z tego spotkania, a mimo to zrobiła krok ku niemu. I wtedy, na mgnienie oka, w długim rozcięciu sukni, ukazała się jej noga, od kostki, aż po udo. I to wystarczyło, by krew w nim zawrzała.

Z trudem podniósł oczy i spojrzał wyżej. Cóż to była za twarz! Cóż za wspaniała, cudowna, śliczna buzia. Jak mógł opierać się jej przez tyle miesięcy?! Jej wygląd odbierał mu dech w piersiach. Przywodziła na myśl... na myśl...

Tak! Wyglądała jak diablica w błękitnej sukni.

Bez wątpienia to ją widział tańczącą - czy jak to nazwać - ze starszym, schorowanym dżentelmenem, lecz, dziwna sprawa, nawet z tak daleka natychmiast ją rozpoznał. Z bliska zaś przychodziło mu to coraz trudniej. Jej włosy były związane w staranny węzeł z tyłu głowy, a utrzymywało je coś, co wyglądało jak chińskie pałeczki do jedzenia, tyle tylko że pokryte jasnobłękitnym lakierem. Srebrno- białe cienie na powiekach spowodowały, że jej szare oczy wydawały się jeszcze większe i jeszcze bardziej urzekające.

Do tego dyskretny makijaż na policzkach. I usta...

O mój Boże! Usta, które nie dawały mu spokoju od wielu miesięcy, tego wieczora były tak pełne, lśniące i kuszące jak świeża, czerwona malina. Nie mógł przestać myśleć o tym, że, bez wątpienia, musiały one być równie słodkie i smakowite.

Zacisnął powieki z cichą nadzieją, że ta zjawa, ta... diablica w błękitnej sukni zniknie w obłoczku pachnącego lawendą dymu. Albowiem, wbrew temu, co usiłował wmówić sobie, nie był przygotowany na jakąkolwiek rzeczową rozmowę.

Niestety wcale nie znikła, tylko wciąż stała przed nim, urzekająco piękna, w błękitnej sukni. I jakby odrobinę przysunęła się do niego. I jakby zamierzała zbliżyć się jeszcze bardziej.

- Co sprowadziło cię na ten bal? - spytała niewinnym głosem. Niewinna, w takiej sukni, też coś! Tak jak przypuszczał, zrobiła ku niemu kolejny krok.

- Ja... ja... ja... - wydukał i natychmiast zamilkł, by nie ośmieszać się jeszcze bardziej, zwłaszcza że Miriam zbliżyła się jeszcze o krok.

- Rory? - spytała.

- Ja... ja... ja przyszedłem tu z bratem - wydukał. - Z Connorem. Jakby z ulgą pokiwała głową.

- Rozumiem - powiedziała. - Myślałam, że z dziewczyną.

Z dziewczyną? - powtórzył w myślach. Co ona plecie? Przecież jedyną dziewczyną, z jaką spotkał się w ciągu ostatnich dwóch lat, była Miriam, jak więc mógłby zjawić się z jakąś inną?

Ale w końcu był z nią, prawda?

- Wiesz, Miriam, bardzo cieszę się, że cię widzę, ponieważ... - zaczął.

Lecz nie dane mu było skończyć, gdyż w tym momencie dołączyła do nich jeszcze jedna osoba. Była to kobieta w sukni bardzo podobnej do tej, którą miała na sobie Miriam, tylko jaskrawoczerwonej. Rory spojrzał na jej twarz i oniemiał.

- Pani Trent? - wydusił. Ona? W takim stroju?! A co z wartościami rodzinnymi?

- Szukałam cię przez cały wieczór - powiedziała pani burmistrz do Miriam. - Chciałam przeprosić cię za suknię.

- Ależ wygląda w niej pani cudownie, pani Trent.

- Nie o to chodzi. Przepraszam cię za twoją suknię - syknęła pani burmistrz. - Bo mojej żadne przeprosiny i tak nic nie pomogą - dodała.

Rory za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego, u diabła, pani Trent miałyby kajać się za suknię Miriam. To naprawdę absurdalne przeproszać za tak boski wygląd.

Miriam jednak zdawała się podzielać rozżalenie pani burmistrz.

- No cóż, wyobrażenia panny Chacha o sukni balowej są zupełnie inne niż moje, ale... - W filozoficznej zadumie wzruszyła ramionami. - Twierdziła, że nic lepszego nie znalazła.

Pani Trent pokiwała głową.

- Podobnie było w moim przypadku - powiedziała. - Nic już jednak nie możemy zrobić. Żałuję tylko, że zgodziłam się, by jeszcze zrobiła mi makijaż. - Westchnęła przeraźliwie i przyjrzała się Miriam. - Widzę, że ciebie też to spotkało.

- Niestety - odparła.

Rory przysłuchiwał się rozmowie w zdumieniu, bo za nic nie mógł pojąć obiekcji obu pań. To prawda, nigdy nie przepadał za przesadnie

umalowanymi dziewczętami, ale przecież i pani Trent, i Miriam wyglądały całkiem... atrakcyjnie, choć może troszkę zbyt przypominały modelki z tego kobiecego pisma, pomyślał. Jak ono się nazywa? Chodzi o życie w mieście, prawda? „Urbanite”? „Metropolis”? „Municipality”? Jakoś tak. Kiedyś na pewno sobie przypomni.

- W każdym razie kiedy ujrzałam, jak tańczysz, i kiedy uświadomiłam sobie, w co jesteś ubrana, poczułam, że muszę cię przeprosić - powiedziała pani burmistrz. - Przecież był to mój pomysł. Gdybym tylko wiedziała, że panna Chacha ubierze nas jak... jak... jak... - Zmarszczyła się. - Chyba nie powinnam nawet tego mówić. Gdybym wiedziała, że tak skończę...

- Proszę pamiętać, że robimy to dla funduszu stypendialnego - wtrąciła Miriam. - Dla dobra młodzieży, pani Trent.

Widać jednak było, że zbytnio to pani burmistrz nie pocieszyło. Nagle, ponad ramieniem Rory'ego, coś dojrzała w głębi sali i na jej twarzy pojawił się wyraz prawdziwej paniki.

- O mój Boże! - rzuciła i przykucnęła, kryjąc się za Rorym. - Nikt mi nie powiedział, że będzie tu Cullen Monahan.

- Cullen? - powtórzył Rory.

Odwrócił głowę i rzeczywiście zobaczył, jak do sali wchodził brat bliźniak Connora. Dlaczego jednak Isabel Trent tak bardzo się przeraziła, absolutnie nie miał pojęcia, wszak Cullen był jej prawą ręką. Dlaczego jego obecność na balu charytatywnym aż tak ją poruszyła? Przecież, jako urzędnik magistratu, Cullen zawsze uczestniczył w tego rodzaju imprezach.

- Sądziłam, że nie będzie go w mieście - powiedziała pani burmistrz, nadal kryjąc się za Rorym. - Gdyby pytał, powiedzcie, że mnie nie widzieliście.

Rory nie wierzył własnym uszom. Kobieta, która została wybrana na swój urząd dzięki wyznawanym wartościom rodzinnym, namawiała swoich wyborców do kłamstwa? Nieuczciwość polityka? To było naprawdę wstrząsające odkrycie.

- Pani Trent, obawiam się, że... - zaczął Rory. Lecz nie miał już do kogo mówić, bo pani burmistrz zakreśliła się na pięcie i znikła w roztańczonym tłumie, Rory zaś z niedowierzaniem pokręcił głową. Co właściwie zaszło między panią Trent i jego bratem?

Po chwili uzyskał możliwość wyjaśnienia tej wielce ambarasującej sprawy u źródeł, bowiem podszedł do nich Cullen. Był ubrany w najlepszy garnitur, fryzurę ułożoną miał perfekcyjnie, oczy mu lśniły... nadzieją? Co tu się dzieje? - zapytał sam siebie Rory. Cullen wyglądał tego dnia znacznie lepiej niż zwykle, jakby chciał... zrobić na kimś wrażenie?

- Cześć, Rory. Witam, panno Thornbury - rzucił i natychmiast spytał: - Widzieliście może panią burmistrz? Słyszałem, że miała tu być. Koniecznie muszę z nią porozmawiać.

Rory już otworzył usta, a nawet zdążył powiedzieć:

- Ona właśnie... - gdy poczuł, że Miriam ścisnęła mu nadgarstek i zaczęła szarpać.

- Dzień dobry, panie Monahan - powiedziała do Cullena. - Bardzo przepraszam, ale nie możemy teraz porozmawiać. Rory obiecał mi taniec i zamierzam wyegzekwować tę obietnicę.

Taniec? - powtórzył Rory w duchu. Taniec?! Z nią? W tej sukni? Musiała zupełnie postradać zmysły.

- Ale... - zaczął.

Znów musiał urwać w pół słowa, gdyż Miriam energicznie szarpnęła go

za rękę i pociągnęła na parkiet, czy mu się to podobało, czy też nie. Tak więc Rory musiał skupić całą uwagę, by nie wpaść na Miriam, nie zmiażdżyć jej palców u nóg, lub też nie wywalić się z nią na podłogę. Choć może to ostatnie wcale nie byłoby najgorsze.

Szczęśliwie na parkiecie było tak tłoczno, że dramatyczny brak umiejętności tanecznych Rory'ego nie rzucał się w oczy, lecz, na nieszczęście, tłok był tak olbrzymi, że kiedy znaleźli się w środku, natychmiast zostali przyciśnięci do siebie, i to bardzo mocno, co z miejsca przywołało całkiem niedawne wspomnienia.

O tak! Świetnie wszystko pamiętał. I natychmiast stracił ochotę na taniec. Mocniej objął Miriam, pochylił się do jej ucha i powiedział:

- Przepraszam, ale jak sama widzisz, nie jestem zbyt dobrym tancerzem.
- Tak? To dobrze - usłyszał zdumiony. Wysoko uniósł brwi.
- Jak to, dobrze? Sądziłem, że chciałaś potańczyć. Pokręciła głową.
- Och nie - odparła. - Szczerze mówiąc, tańczenie jest ostatnią rzeczą, którą chciałabym z tobą robić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

O rety! - pomyślała Miriam gdy dotarło do niej, jak opacznie można było zrozumieć jej wypowiedź. I tak właśnie się stało, gdyż po wyrazie twarzy Rory'ego zrozumiała, jak wielki przeżył wstrząs.

Wiedziałam! - pomyślała. Wiedziałam, że powinnam trzymać się od niego z daleka.

Gdy jednak skończyła zapasy z dziewięćdziesięcioletnim Leonardem Federmanem i zauważyła Rory'ego stojącego na brzegu parkietu, nie mogła się powstrzymać. Miała wrażenie, jakby niewidzialna siła pchała ją ku niemu, a kiedy już stanęła tuż przed nim... było za późno.

Powinna była wiedzieć, że nie uda się jej umknąć spotkania z nim, bo przecież Marigold to małe miasteczko. Wcześniej czy później musieli wpaść na siebie, zwłaszcza że jej miejsce pracy było dla niego prawie drugim domem. Przez cały ten czas nie wiedziała jednak, co powinna była mu powiedzieć ani jak postąpić. Liściki, które jej zostawił, były takie oficjalne, bezosobowe, no i ani razu nie zatelefonował. A jednak dało się odczuć, że zależało mu na rozmowie z nią, lecz bała się, że powie jej, iż to, co zaszło między nimi, było pomyłką, której powtórnie nie zamierza popełniać. Przecież przeprosił ją natychmiast po tym, jak... się kochali. Dlaczego więc miałby zrobić to ponownie?

Żałowała, że zaciągnęła go na parkiet, gdyż jego tak bliska obecność okazała się słodką torturą, ale musiała tak postąpić ze względu na Cullena, bo Rory bez wątpienia powiedziałby mu o Isabel Trent.

A do tego nie mogła dopuścić, ponieważ było rzeczą oczywistą, że

Isabel Trent za nic nie chciała, by Cullen zobaczył ją w sukni, w której wyglądała jak...

Mniejsza z tym, jak często różniła się w opiniach z panią burmistrz, ale Miriam i tak nie chciała, by Isabel Trent wpadła w takie kłopoty z Cullenem, jak ona z Rorym. No cóż, gdy Cullen Monahan stanął w progu sali balowej Tony'ego Palermo, Miriam dostrzegła w jej twarzy coś bardzo znajomego, a co ostatnio widziała, ilekroć spoglądała w lustro. Było to pragnienie mężczyzny. Tego jednego jedyne, który, niestety, nie odpłacał wzajemnością.

Rety! - pomyślała Miriam, pani Trent ma poważny problem z byłym szefem swojej kampanii wyborczej, a obecnie asystentem, Cullenem Monahanem, który na dodatek, jak można było sądzić, z niczego nie zdawał sobie sprawy.

Co jest z tymi Monahanami?! - pomyślała. Oślepli? Nie potrafią zobaczyć rzeczy aż tak oczywistych? Dużo jeszcze muszą nauczyć się o życiu. I o miłości. I o kobietach.

Miriam nie powiedziała Rory'emu, że nie ma ochoty tańczyć i nie zrobiła nic, by przerwać te płasy nie dlatego, iż głowę miała zajęta myślami o zupełnie innych sprawach. Chodziło o to, że na parkiecie był tak wielki ścisk, iż pozostało im tylko poddać się zbiorowemu kołysaniu ciał.

Choć może nie wszyscy kołysali się w rytm muzyki, bo raz po raz ktoś na nią wpadał, popychał, uderzał, dlatego też ona co i rusz wpadała na Rory'ego. Starła się jak mogła unikać takich zderzeń, zwłaszcza że Rory nie robił w tej sprawie nic. Bardzo dziwne...

Aż nadto dobrze pamiętała, jak energicznie zapewniał policjanta, że Miriam nie jest ani jego żoną, ani narzeczoną, a z drugiej strony jak ochoczo

odpowiadał na jej pocałunki. Jak przyciągnął ją do siebie. Bardzo dziwne...

Chyba że rzecz miała się zgoła inaczej. Owszem, Rory pragnął jej, lecz tylko fizycznie.

Mężczyźni mają przecież potrzeby cielesne, pomyślała. Kobiety zresztą też, sama była tego najlepszym dowodem. No tak, to tłumaczyłoby, dlaczego Rory tak ochoczo złączył się z nią, ale tylko fizycznie, natomiast ze wszystkich sił bronił się przed bliskim związkiem emocjonalnym. Pragnął tylko zaspokoić swoje żądze i sądził, że również jej chodziło o to samo.

Przypuszczalnie również tego wieczoru tylko to było mu w głowie, dlatego nic a nic nie protestował, gdy, popychana przez tańczących, raz za razem wpadała na niego. Do tego ta jej suknia... no cóż, była zdecydowanie zbyt prowokująca.

Lecz i Miriam miała tego wieczoru głowę pełną szalonych wizji, co uświadomiła sobie bardzo dobitnie, gdy, pchnięta przez kolejnego tancerza, oparła dłonie na piersi Rory'ego.

Westchnęła ciężko. W ostatnich dniach tyle razy sobie powtarzała: „Wyrzuć go z pamięci. Zapomnij. Wyrzuć go ze swego życia”. Niestety nic z tego nie wyszło, może dlatego, że myśl o życiu bez Rory'ego była nieznośnie bolesna.

- Obawiam się, Miriam, że strasznie dają ci się we znaki i... - zawołał, przekrzykując muzykę.

- Ależ nie, nic nie szkodzi - odparła. - Możesz dawać się mi we znaki do woli. Proszę.

Boże, Miriam! - pomyślała. Więcej godności.

Ale tak wspaniale było znów znaleźć się w jego ramionach, choćby tylko na chwilę. Nie ma w tym nic złego, prawda? Przecież nie pozwoli, by

sprawy zaszyły zbyt daleko, na pewno nie tak, jak owej nocy. Chociaż pragnęła tego z całej duszy.

Ponieważ Rory nadal nie wykazywał żadnej aktywności w dawaniu się jej we znaki, powiedziała:

- Jeśli jest coś, Rory, co chciałbyś wiedzieć, pytaj. A więc obawiasz się, że dajesz się mi we znaki? - powtórzyła zachęcająco.

Zawahał się. Wpatrywał się w jej twarz, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź na swoje niewypowiedziane pytania.

- Jeśli nie masz ochoty tańczyć ze mną - powiedział w końcu - to... dlaczego tańczysz ze mną?

- A, to - rzuciła.

- Właśnie, to - odparł.

- To nie jest dawanie się we znaki - bąknęła z rezerwą.

- Nie?

- Oczywiście, natomiast jest to doskonałe pytanie.

- Więc odpowiedz na nie. Czekał, lecz ona milczała. Być może nie potrafiła znaleźć doskonałej riposty.

- Dlaczego nie odpowiadasz? - spytał po chwili.

- Na co? - zapytała słabo, bo też cała czuła się dziwnie omdlała.

Wykonał głęboki wdech, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu.

- Czemu tańczymy ze sobą? - rzucił.

- Hm... Może dlatego, że pięknie grają? Grzecznie pokiwał głową, lecz raczej jej nie uwierzył.

- Przecież doskonale wiesz - ciągnął - że nie potrafię tańczyć.

Rzykujesz poważnymi obrażeniami stóp, jeśli szybko nie przestaniemy.

- Uważam, że świetnie sobie radzisz - odparła, tym razem szczerze.

- Tak, właśnie - bąknął. - W tym potwornym ścisku to nic trudnego, ale zaczną się kłopoty, kiedy przestaną grać i ludzie zaczną się rozchodzić.

O tak! Święte słowa, pomyślała Miriam. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Lecz muzyka wcale nie cichła, tylko stała się jeszcze głośniejsza i żywsza. Wtedy ktoś gwałtownie wpadł na Rory'ego i z wielką siłą pchnął go na Miriam. Żeby uchronić ją od upadku - i tylko dlatego - chwycił ją w ramiona, a jego dłonie wylądowały na samym skraju jej pleców. W normalnych okolicznościach nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego.

Pamiętać jednak należy, że Miriam nie była ubrana normalnie, tylko miała na sobie jedną z sukien Loli Chacha, co oznaczało, że oprócz błyszczących cekinów, piór i rozcięcia z boku - które bez wątpienia powinno być ściągane prawem - miała na sobie jeszcze dekolty, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Tak głębokie, jak było to możliwe bez narażania się na więzienie, przynajmniej, póki było na tyle ciemno, by policja niczego nie zauważyła.

W rezultacie dłoń Rory'ego nie natrafiła na fragment garderoby, ale na nagą skórę Miriam, a to wystarczyło, by żywy ogień popłynął w jej żyłach.

Jej palce, które spoczywały na jego piersi, wiedzione czystym odruchem zacisnęły się, a wydarzenia nabrały jeszcze większego tempa, gdy ten sam energiczny tancerz znów popchnął Rory'ego. I tak jakoś stało się, że jej dłonie, mocno zaciśnięte, jakby walczyła o życie, znalazły się na jego ramionach.

Stało się tak, gdyż, oczywiście instynktownie, ratowała się przed upadkiem. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyła, bo przecież nie dlatego, że chciała mocniej chwycić Rory'ego, a w żadnym razie nie po to, by dotknąć go jeszcze raz. Absolutnie.

Naprawdę. Wcale nie dlatego.

Zachowanie Rory'ego także dalece odbiegało od przynależnego mu, profesorskiego stylu bycia. Było coś zastanawiającego, a przy tym podniecającego, w sposobie, w jaki położył dłoń na jej nagich plecach, a drugą - na jej równie nagim ramieniu.

Tak, to jest głęboko zastanawiające, pomyślała Miriam, gdy dłonie Rory'ego zaczęły bardzo powoli zsuwać się w dół, dużo niżej, niż to było konieczne, by ją podtrzymać. Bardzo wyraźnie poczuła ten powolny ruch nie dlatego, że opuszki palców Rory'ego zostawiały na jej skórze rozpalone ślady, ale dlatego, że zatrzymały się dopiero na skraju jej pleców.

- Wszystko w porządku, Rory - rzuciła trochę bez tchu. - Nie musisz... Nie...

- Czego nie muszę? - spytał niewinnym głosem, choć wyraz jego twarzy świadczył o czymś innym.

Rumieniec na jego policzkach Miriam uznała za objaw zawstydzenia, bo przyłapała go na tym, jak ją dotykał, lecz mimo to wcale nie cofnął rąk. Uznała też, iż usta miał rozchylone z powodu duchoty, choć nie było widać, by z trudem chwycił powietrze, natomiast dziwny blask jego oczu wzięła za skutek gorąca. Mimo że żar, który oblewał ich oboje, nie zdawał się płynąć z zewnątrz.

Uznała też wreszcie, że jej własne reakcje - płonące policzki, krótki urywany oddech i ogień rozpalający żyły - były jedynie skutkiem tłoku, który ich otaczał.

Sęk w tym, że nie wierzyła w nic, co usiłowała w siebie wmówić.

Orkiestra zmieniła melodię na coś spokojnego, jakiś standard Gershwina, lecz Miriam nie mogła sobie przypomnieć, jak nazywał się ten utwór, gdyż była zbyt oszołomiona. Niespodziewanie wokół nich zrobiło się

luźno. Spodziewała się, że Rory uwolni ją z ciasnego uścisku i sprowadzi z parkietu, lecz on tylko przyciągnął ją jeszcze bliżej, choć zdawało się to zadaniem wręcz niemożliwym do wykonania. Objął ją mocniej i przytulił policzek do jej głowy.

Z miejsca owiał ją słodki zapach, czyli mieszanina Old Spice'a, wilgotnej bawełny i rozgrzanego, spoconego mężczyzny. Podziałało to na nią jak narkotyk. Miriam już nie walczyła, tylko uległa, poddała się, jakby wreszcie znalazła się w wymarzonym miejscu na ziemi. Choć wymyślała sobie w myślach od idiotek, nie mogła powstrzymać się i zarzuciła Rory'emu ramiona na kark. Przestała myśleć i poddała się łagodnemu rytmowi muzyki.

- Musimy porozmawiać - usłyszała jego szept.

Coś musiało stać się ze światłami. A może to tylko jej zrobiło się ciemno przed oczami? Pewnie miało to jakiś związek z rękami Rory'ego, które znów rozpoczęły powolną wędrówkę po nagiej skórze jej pleców, zostawiając gorące ślady, odbierając przytomność i wprawiając serce w szalony galop.

- Porozmawiać? - powtórzyła. - O... o czym?

- O nas - odparł po krótkim wahaniu.

- Och!

Oczekiwała, że Rory wyjaśni, co miał na myśli, mówiąc „o nas”, lecz on szepnął wprost do jej ucha:

- To jest, hm... bardzo zdumiewająca sukienka. Niezwykle jej mało.

- No tak, cóż... Ona nie jest moja - odparła Miriam. Brzmienie jego głosu przyprawiło ją o dreszcz, tym bardziej, że znów poczuła palce wędrujące po plecach. - Zwykle ja... To znaczy, nie jestem... To nie jest mój zwykły... - Zupełnie się zaplątała i nie potrafiła opanować natłoku myśli.

- Mój także nie - odparł Rory.

Jakim cudem domyślił się, co chciałam powiedzieć? - pomyślała.

Chociaż, z niewiadomego powodu, nie była zaskoczona.

- Ja... - zaczęła. - To znaczy, próbowałam... To wszystko dlatego, że...- Doskonale rozumiem - powiedział.

I znów, nie wiadomo dlaczego, wiedziała, że powiedział prawdę.

- Pasuje ci doskonale, Miriam - dodał. Jego cichy głos delikatnie pieścił jej ucho, kark i szyję. - Ponieważ wyglądasz w niej... - Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił powoli. - Wyglądasz olśniewająco. - Znów westchnął głęboko. - Jesteś olśniewająca - dodał. - Nie rozumiem, dlaczego tak długo tego nie dostrzegałem.

Bo nigdy dotąd nie ubierałam się w taki sposób, pomyślała Miriam posepnie. Jak Wewnętrzna Uwodzicielką. Na pewno był to jedyny powód.

W tym momencie uświadomiła sobie, w jak żalnym znalazła się położeniu. No cóż, Rory nigdy nie pragnął jej dla niej samej.

Spróbowała go odepchnąć, ale nie zdołała wyswobodzić się z jego objęć, a on jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. I poczuła, jak bardzo gotowy był dla niej. Czy raczej dla jej Wewnętrznej Uwodzicielki.

- Musimy porozmawiać - powtórzył. - O nas. Pokręciła głową.

- Nie ma żadnych „nas”, Rory.

Mimo półmroku dostrzegła zmianę w jego twarzy. Prysła gdzieś nadzieja, zjawił się lęk.

- Co masz na myśli? - spytał. - Oczywiście, że jesteśmy „my”.

Byliśmy „my”, odkąd tylko...

Znacznie gwałtowniej pokręciła głową.

- Nie, nie ma „nas” - upierała się. - Jest Rory Monahan i moja

Wewnętrzna Uwodzicielką. Miriam Thornbury w ogóle nie pasuje do całości. Tym razem na jego obliczu pojawiło się niebotyczne zdumienie.

- Wewnętrzna Uwodzicielką? - powtórzył. - O czym ty mówisz? Chód, rzecz jasna, nie miałbym nic przeciw temu, żebyś trochę mnie pouodziła - dodał prędko. Jego dłonie znów zaczęły powolny spacer po jej plecach.

Och, Rory! - Tylko tyle zdołała pomyśleć.

- To nie ja cię uwodziłam, tylko moja Wewnętrzna Uwodzicielką.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i niepomiernym zdziwieniem.

- Wciąż nic nie rozumiem - powiedział. - Jeśli w tobie jest ktoś, kto mnie kusi i uwodzi, to jesteś to ty, Miriam Thornbury.

Im mocniej chciała mu uwierzyć, tym energiczniej kręciła głową.

- Nie - rzuciła. - To nie ja. To jest twór wykreowany przez „Metropolitan”.

- Teraz już zupełnie nic nie rozumiem - odparł. - Jaki wpływ mogło mieć jakieś pismo na moje uczucia do ciebie?

- To długa historia. - Westchnęła ciężko, starannie unikając jego wzroku. - Kiedy pani burmistrz Trent kazała mi. usunąć z biblioteki wszystkie numery „Metropolitan”, zabrałam je do domu i zaczęłam czytać. Było tam kilka artykułów o... - W tym momencie dotarł do niej sens pytania Rory'ego. - Twoich uczuć do mnie? - powtórzyła.

Zakasłał.

- No pewnie, Miriam - powiedział. - Przecież kocham cię.

Zamarła i przez mgnienie oka poczuła się najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Lecz tylko przez chwilę. Uświadomiła sobie bowiem, że słowa Rory'ego nie dotyczyły jej.

- Nie, nie kochasz mnie - wyszeptała. - Kochasz moją Wewnętrzną Uwodzicielkę.

Z gardła Rory'ego wydobył się bardzo dziwny dźwięk.

- Miriam... - wymamrotał z rozpaczą, a potem, słowo po słowie, powoli wyskandował: - O czym ty mówisz?

Pospiesznie, najszybciej jak mogła, próbowała wyjaśnić mu wszystko. Najpierw wyznała, że już od pół roku szalała za nim, a potem opowiedziała, jak po lekturze artykułów z „Metropolitan” ułożyła plan zdobycia go. Mówiła, jak bardzo była szczęśliwa, gdy spostrzegł ją, a potem jaka ogarnęła ją rozpacz, gdy zrozumiała, że jego uczucia przeznaczone były nie dla niej, lecz dla sztucznego tworu wykreowanego przez kolorowy magazyn. Raz po raz powtarzała, że nie mógł pokochać Miriam- Bibliotekarki, ponieważ pokochał tę drugą, całkiem sztuczną i nieprawdziwą Miriam- Uwodzicielkę.

- Sam więc widzisz - podsumowała - że jeśli nawet jesteś zakochany, to nie we mnie, tylko... tylko... - Prychnęła gniewnie. - Na pewno nie w tej, która tak bardzo cię pokochała.

Rory długo przyglądał się jej w milczeniu, a z jego nieruchomej twarzy nie można było niczego wyczytać, a potem z radości i szczęścia zaczął się cicho śmiać. Miriam pomyślała, że wyglądał wprost oszałamiająco. Tak wspaniale, że nie mogła oderwać od niego oczu.

- Co cię tak śmieszy? - spytała.

- Ty - odparł i przytulił ją mocniej. - Moja słodka Miriam. Moja uczona bibliotekarka. Moja pilna uczennica. Moja czarująca uwodzicielką. Ponieważ ty jesteś każdą z nich, najdroższa! I wciąż jesteś sobą.

Cicho szeptane słowa oszołomiły Miriam, a przy tym wprawiły w zadumę. I nagle poczuła się bardzo szczęśliwa, ponieważ pojęła, że Rory miał

rację. Wcale nie musiała być tylko jedną postacią. Nie była tylko Miriam-Bib-liotekarką, ale też nie była tylko Miriam-Uwodzicielką. Dla różnych ludzi mogła być kimś innym, także dla Rory'ego. I dla samej siebie. I tak będzie już zawsze.

Stało się dla niej jasnym, że nie mogła wyrzec się odpowiedzialności za swoją Wewnętrzną Uwodzicielkę, ponieważ, chociaż z pozoru tak inna, była jej dziełem. A w takim razie, skoro już godziła się odpowiadać za uczynki tej małej wiedźmy, dlaczego nie miałyby trochę skorzystać z rezultatów jej podłych knowań?

Rory musi kochać mnie całą, pomyślała, bez względu na to, w jakiej jestem postaci. Widać taka jest natura miłości, bo i ja kocham go takiego, jakim jest.

O rety! - pomyślała. Przecież wszystko jest takie jasne. Naprawdę. Muszę się jeszcze dużo nauczyć.

Nie mogła jednak czekać, by Rory zabrał się do jej edukowania, gdyż to ona miała mu to i owo do przekazania.

Rory czytał chyba w jej myślach, gdyż pochylił się i oparł czołem o jej czoło.

- Widzisz więc, że jesteś dla mnie wszystkim - powiedział. - Została mi tylko nadzieja, że staniesz się dla mnie jeszcze kimś.

- A kim? - spytała, oszołomiona i szczęśliwa.

- Moją ukochaną żoną - odrzekł. - Czy mogę na to liczyć?

- Och, Rory...! Nie skończyła, tylko wspięła się na palce i wpiła się ustami w jego usta. Całowała go raz za razem, zachłannie i gorąco, a Rory z równym zapalem odpowiadał jej tym samym.

Jak przez mgłę Miriam usłyszała muzykę, śmiech i owacyjne brawa.

Cofnęła się i zauważyła, że wszyscy zgromadzeni w sali balowej „Stardust” Tony'ego Palermo

- czyli wszyscy mieszkańcy Marigold w stanie Indiana
- stali się świadkami najbardziej niepohamowanej demonstracji uczuć w historii miasta. Nawet pani burmistrz Trent klaskała i uśmiechała się. Miriam także się uśmiechnęła, gdyż zauważyła u boku pani burmistrz Cullena Monahana. Cały był zmieszany i zakłopotany.

Może jest jeszcze nadzieja dla rodu Monahanów, pomyślała Miriam.

Szybko pocałowała Rory'ego w usta i szepnęła mu do ucha:

- Chodźmy stąd. Ochoczo pokiwał głową.
- Może mój samochód? - rzucił.
- Wspaniale - powiedziała. - Mam nadzieję, że zaparkowałeś w ustronnym miejscu.

Wprost niewiarygodne! Miriam i Rory znaleźli się w samochodzie i nie ulegli targającym nimi żądom. No, może nie całkiem ulegli. Więcej! Zdołali nawet dotrzeć do mieszkania Rory'ego. Raz tylko, stojąc przed światłami na skrzyżowaniu, pocałowali się, a zaledwie kilka razy dotknęli się. I tylko raz zatrzymali się na poboczu, by Rory mógł z Miriam zdjąć majteczki. Kiedy jednak dotarli na miejsce, nic już nie mogło ich powstrzymać. W mgnieniu oka pozbyli się ubrań, co w przypadku Miriam nie było zbyt trudne, jako że niewiele miała na sobie. Z Rorym sprawa była jednak trudniejsza, bowiem gdy ona usiłowała go rozebrać, on ani na chwilę nie przestawał jej całować. Jednak po chwili, już całkiem nadzy, stali na środku jego sypialni.

Późniejszych wydarzeń Miriam nie zapamiętała zbyt wyraźnie, ponieważ Rory powoli poprowadził ją do łóżka, a w tym czasie jego dłonie wędrowały po całym jej ciele. Potem delikatnie ułożył ją w pościeli i

natychmiast przylgnął do niej.

O tak! - pomyślała Miriam. Tak jest znacznie wygodniej niż w samochodzie, gdyż tym razem czuła dotyk nagiej skóry Rory'ego na całej sobie, no i nie przeszkadzało im absolutnie nic.

Wplotła palce w jego włosy i przyciągnęła go do siebie, a jego na wpół otwarte usta sunęły pomału od jej karku, przez szyję, ramię i dekolt, aż wreszcie dotarty do piersi. Zacisnął w wargach nabrzmiałą różową perełkę. Pociągnął lekko, aż Miriam głucho jęknęła, lecz nie był to jeszcze ostateczny cel ich wędrówki, ponieważ już po chwili sunęły dalej, w dół brzucha...

Miriam gwałtownie nabrała powietrza. Och, jeszcze nikt nigdy... Och, nigdy jeszcze nie czuła czegoś takiego... Och...

Och!

Rory nie przerywał pieszczot. Coraz szybciej, coraz mocniej, coraz gwałtowniej. W końcu uniósł się, przesunął ku górze i zastygł bez ruchu. Miriam zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała prosto w oczy.

- Teraz - powiedziała. - Kochaj mnie. Rory oddychał ciężko.

- Niczego nie mam - rzucił. - To znaczy, żadnego zabezpieczenia. Tak bardzo pragnąłem spotkać się z tobą, porozmawiać... Ale nie przewidziałem, że...

- A ja już nie jestem „Dziewczyną Miesiąca” i tym razem nie mam prezerwatywy w torebce. Zresztą wtedy to był ten jeden jedyny raz.

Choć sytuacja była trudna, Rory zachichotał.

- Ktoś sprzedał ci jedną prezerwatywę? - zapytał. Pokręciła głową.

- Wyniosłam ją z przyjęcia.

Ze zdumienia wysoko uniósł brwi.

- Bywasz na przyjęciach, gdzie rozdają prezerwatywy? - Przesunął

między palcami pukiel jej włosów. - Ależ z ciebie uwodzicielką!

- To był wieczór panieński.

Oczy zrobiły się mu wielkie jak spodki.

- Obiecuj mi, Miriam, że na swoim wieczorze panieńskim będziesz serwować tylko ptifurki i tego rodzaju rzeczy.

Uśmiechnęła się.

- Nie jestem pewna, co będzie działo się podczas mojego wieczoru panieńskiego. To będzie zależało od tego, kto tego dnia będzie górą, Miriam-Bibliotekarka czy Miriam-Uwodzicielka. A może Miriam-Gospodyni Domowa?

- Teraz, w tym momencie - powiedział Rory - mam nadzieję, że jesteś Miriam-Owładnięta-Przez-Ządze.

- O, tak. - Wzięła jego twarz w dłoń. - Jeszcze jak.

- Ale bez prezerwatywy...

- Mogę zostać Miriam-Mamušką - dokończyła.- Właśnie - bąknął, zrezygnowany.

- A ty możesz zostać Rorem-Tatuśkiem - dodała.

- Właśnie.

- Czy byłoby to takie straszne?

- Nie. - Pokręcił głową. - Ani trochę.

- To może raczej nie powinniśmy się bać, tylko mieć nadzieję? - spytała.

- Może? - Uśmiechnął się.

Gdy zwarli się w uścisku, Miriam zacisnęła powieki. Delikatne, niespieszne ruchy Rory'ego jeszcze bardziej rozpałały jej pragnienia i potęgowały ogarniające ją uczucie szczęścia.

Poddała się jego rytmowi, wychodziła mu naprzeciw coraz energiczniej i zachłanniej. W ogarniającej ich pożodze Miriam i Rory połączyli się fizycznie, emocjonalnie, intelektualnie i uczuciowo. Z każdą chwilą Miriam coraz bardziej nabierała pewności, że tak będzie już zawsze.

Bardzo długo leżeli bez ruchu, zwarci w uścisku, zdyszani, z sercami pędzącymi w szalonym rytmie. Wreszcie Rory wyszeptał:

- Jestem pewien, że przez te wszystkie nadchodzące lata, kiedy tak wygodnie leżąc w łóżku będziemy się kochać, zawsze będę wracał pamięcią do naszego pierwszego razu, w moim samochodzie.

Miriam odgarnęła włosy z czoła, spojrzała Rory'emu w oczy i uśmiechnęła się.

- Ja też - powiedziała. - Choć było okropnie niewygodne, to przecież było takie... niezapomniane.

Pokiwał głową.

- Któregoś pięknego dnia będziemy musieli zrobić toponownie, żeby przypomnieć sobie stare dobre czasy. Ale na tylnym siedzeniu. Z czysto technicznych powodów.

- Któregoś pięknego dnia - dodała - koniecznie będziemy musieli się pokochać się na jednym ze stołów w bibliotece. - Na samą myśl o tym wybuchła śmiechem. - Nawet wiem, na którym. Ten ze Stegmanem, albo żaden.

- Ależ Miriam! - uśmiechnął się szelmowsko. - Tak długo trzymałaś to w tajemnicy przede mną.

- Już nigdy więcej - zapewniła go. - Od dziś, bez względu na to, co będzie działo się w mojej głowie, to znaczy, która „ja” akurat będzie brała górę, zawsze o wszystkim dowiesz się pierwszy. Zgadnij, o czym teraz

myśle?

Iskierki rozbawienia zamigotały mu w oczach.

- Nie jestem pewien, ale gotów jestem postawić wszystkie pieniądze, że wiem, która jest teraz górą. - Obrócił się tak, że Miriam leżała na nim. Objął ją mocno, przytulił i pocałował. - Chodź, ty mała kusicielko, ty...

EPILOG

Trudno o lepszy czas na wesele niż wiosna, pomyślał Rory, lecz wcale nie miał na myśli siebie i Miriam, o nie. Przeciwnie. Kiedy przyglądał się przygotowaniom Connora do ślubu, który zaplanowano właśnie na wiosnę, upewniał się, że jego i Miriam decyzja, by pobrali się natychmiast, była jak najbardziej słuszna. Uniknęli w ten sposób sporów i dyskusji o tym, czy panna młoda powinna być ubrana na różowo, czy też na brzoskwińowo? Czy na przyjęciu należy podać kurczęta, czy wołowinę? Czy kelnerzy powinni mieć garnitury czarne, czy szare?

I nie musiał się niepokoić, czy Miriam Thornbury przypadkiem się nie rozmyśli.

Oczywiście nie wierzył w to, by mogła go zostawić, był jednak człowiekiem inteligentnym i wiedział, że lepiej nie ryzykować bez potrzeby. Poza tym głowę tak miał zajęta zbliżającym się ślubem, że w ogóle nie mógł pracować, lecz akurat tym zupełnie się nie przejmował.

Choć był już prawie listopad, pogoda dopisała wręcz nadzwyczajnie. Był to jeszcze jeden z tych prezentów, którymi natura czasami obdarza ludzi,

zanim zima obejmie władzę nad światem.

Dlatego ogród na tyłach Biblioteki Publicznej Miasta Marigold świetnie nadawał się na weselne uroczystości. Początkowo Rory i Miriam zamierzali wziąć ślub w bibliotece, wśród książek, które tak kochali, ostatecznie jednak postanowili, że odbędzie się on na zewnątrz, wśród ludzi, których również, a nawet dużo bardziej kochali.

A przybyło ich co niemiara. Tess, siostra Rory'ego, zaróżowiona i zaokrąglona macierzyństwem, oraz jej mąż. Sean, brat Rory'ego, z narzeczoną, Autumn. Connor ze swoją rudowłosą wybranką. Był też, rzecz jasna, Cullen. Stał bardzo blisko pani burmistrz, która niezmiernie zaskoczyła Miriam i Rory'ego, kiedy z ochotą odpowiedziała na zaproszenie.

Każdy ma parę, pomyślał Rory. Pierwsza była Tess, która wyszła za Willa w czerwcu. Sean i Autumn zaczęli spotykać się niedługo później, aż wreszcie przyszła kolej na Rory'ego i Miriam. Tuż za nimi był Connor, a jeśli sądzić po zachowaniu Cullena, to może nawet jeszcze przed Bożym Narodzeniem i on ogłosi swoją decyzję.

I tylko smutno robiło się Rory'emu, gdy myślał o swoim starszym bracie, Finnie, gdyż wszystko wskazywało na to, że ten nigdy nie zwiąże się z kobietą. Rory'ego jednak wcale to nie dziwiło, gdyż był pewien, że Finn nigdy nie przestanie kochać Violet Demarest, mimo że ona nie kochała jego.

- Czas na nas - usłyszał. Odwrócił się. To była Miriam.
- Wszystko gotowe? - spytał, chociaż doskonale znał odpowiedź.

A ona, uśmiechając się radośnie, pokiwała głową.

- O tak - powiedziała. - Czekałam na tę chwilę bardzo długo. Dłużej nawet niż ty.

- Nie jestem przekonany. - I chyba miał rację, gdyż już dawno

zrozumiał, że pragnął Miriam od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, tylko musiało trochę potrwać, nim sobie to uświadomił. Ale cóż, głowę miał pełną zupełnie nieistotnych informacji i musiał zrobić w niej miejsce dla obrazów i wspomnień o Miriam.

W milczeniu podał jej ramię. Miała na sobie długą, śnieżnobiałą suknię z długim welonem. Wygląda jak bogini, pomyślał, tyra bardziej, że miała na głowie diadem ze wspaniałych pereł.

- Wyglądasz cudownie - powiedział i uśmiechnął się szeroko. -
Bardzo pociągająco.

Odpowiedziała uśmiechem.

- A ty musiałeś chyba czytać w moich myślach, bo w tym czarnym smokingu wyglądasz wprost jak... no, po prostu oszalamiająco.

- No tak... Muszę ci wyznać, że przejrzałem kilka numerów „Metropolitan”. Było to niezwykle pouczające przeżycie... hm... intelektualne.

- Rory uśmiechnął się. - Wprost nie do wiary, ile po takiej lekturze mężczyzna może dowiedzieć się o kobiecie.

- Tak? - W głosie Miriam dało się słyszeć zaciekawienie. - A na przykład, co?

- Był tam taki artykuł: „Pomóż mu znaleźć twój czuły punkt. I znajdź jego wrażliwe miejsce!”. Naprawdę bardzo interesujące, a nawet, powiem więcej, wręcz intrygujące.

- Hmm... - mruknęła. - Musiałam przeoczyć ten artykuł.

- Nic nie szkodzi - uspokoił ją. - Zrobiłem notatki.

- Już nie mogę doczekać się, kiedy tą wiedzą podzielisz się ze mną.

- Ależ, panno Thornbury. - Rory uśmiechnął się łobuzersko. - Tę wiedzę będziemy zdobywać we dwoje.

- O rety! - rzuciła z równie łobuzerskim uśmiechem. - Jesteś szatanem, prawda?

- A ty, moja droga, jesteś kusicielką.

- Zatem możemy chyba być ze sobą bardzo szczęśliwi. Rory jeszcze raz uśmiechnął się i poprowadził ją do ogrodu.

O, tak! Był tego bardziej niż pewien.

scandalous